



Fiona McArthur



Szcześnie zakończenie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kolejny mijany przysadzisty baobab australijski sychnął suchymi liśćmi, co było pewnym znakiem, że pora deszczowa prawie się skończyła. Na widok wygrzewającej się pośrodku drogi agamy kołnierzystej Sophie Sullivan nacisnęła klakson, a wówczas jaszczurka stanęła na tylnych łapach, rozpostarła kołnierz i syknęła. Typowy samiec.

Sophie rozejrzała się dookoła. Czerwone urwiste góry i rzeka płynąca po ogromnych głazach, do której się właśnie zbliżała, były drogą jej sercu i zawsze kojarzyły jej się z domem.

Dom. Północny skraj zachodniej Australii. Region Kimberley. Daleko od miasta i facetów z ustami pełnymi kłamstw, którymi szafowali jak baobaby liśćmi.

Nawet wyschnięty bity trakt biegnący wzdłuż rzeki Pentecost, zwany Gibb River Road, cieszył oko mimo tumanów kurzu. Nagle Sophie spostrzegła luksusowy samochód terenowy zaparkowany koło brodu i mężczyznę stojącego nieruchomo tuż nad leniwie płynącą wodą.

Jeszcze jeden smaczny kąsek dla krokodyli.

Westchnęła. Wieczne utrapienie z tymi turystami. Parkują tutaj, by podziwiać widok na masyw Cockburn Range, zamiast pojechać na parking na szczycie wzgórza położony z dala od niebezpiecznej rzeki i jej żarłocznych lokatorów.

Sophie zatrzymała samochód i opuściła szybę.

- Wszystko w porządku? - zawołała.

Mężczyzna nie zareagował. Musiał słyszeć, że nadjeżdżam, pomyślała Sophie z irytacją. Jest nie tylko nieroztropny, ale i niewychowany. W końcu jednak nieznajomy odwrócił się, spojrzął na nią i lekceważąco burknął:

- Tak. Dzięki za troskę.

Był wysoki, wyższy od jej brata, Smileya, który mierzył blisko dwa metry, i dobrze zbudowany, więc krokodyle miałyby niezłą ucztę. Szkoda. Szkoda by też było dzinsów znanej marki i roleksa.

Sophie dopiero od niedawna zauważała takie drobiazgi. Miała dobrego nauczyciela, chociaż zdobyta wiedza została drogo okupiona.

- Widział pan ostrzeżenia? - Znacząco spojrzęła na tablicę i przeczytała na głos: „W tej okolicy mieszkają krokodyle. Nie zbliżać się do brzegu. Nie wchodzić do wody”.

Mężczyzna nawet nie drgnął. Brr. Co za gbur. Niezrażona odezwała się ponownie:

- One są naprawdę groźne.

- Owszem. Dziękuję, że mi pani o tym mówi. - Teraz odwrócił się jednak twarzą do niej i dodał: - Tylko tędy przejeżdżałem.

- Mógł pan przejechać krokodyla - odparła cierpko. - W podobnym miejscu straciłam ukochanego psa.

Jeszcze do tej pory wyrzucała sobie, że to była jej wina.

Dopiero teraz mężczyzna podniósł głowę. Nie był zabójczo przystojny, lecz miał ciemną oprawę oczu i intrygujące spojrzenie. Natychmiast zabrzmiały w jej głowie dzwonki alarmowe.

- Przykro mi z powodu pani psa - odrzekł i obejrzał się na rzekę, potem znowu spojrzał na Sophie.

Bała się ponownie napotkać jego wzrok, skupiła więc uwagę na niewielkiej bliźnie na brodzie, która nadawała całej twarzy wyraz lekkiej bezbronności, i na ustach. Nagle zapragnęła zobaczyć, jak te usta układają się do uśmiechu. Nieznajomy musiał zauważyć, że zrobił na niej wrażenie, bo westchnął ostentacyjnie i dodał:

- Gdybym teraz został zaatakowany przez krokodyla, bo mnie pani zatrzymuje, nie byłbym zachwycony.

- Ma pan rację. Pańskie zmartwienie, pański pogrzeb. Wtrącam się w nie swoje sprawy - odparła Sophie i ze złością nacisnęła wsteczny bieg.

Levi Pearson odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na miejsce, gdzie pięć miesięcy wcześniej zginął jego ojciec. Wpadł do rzeki czy ktoś mu pomógł?

Dowie się tego.

Dziwne okoliczności śmierci ojca do tego stopnia nie dawały mu spokoju, że gdy tylko pora deszczowa dobiegła końca, przyleciał tutaj z siostrą, uprzednio wymógłszy na niej, że nie zdradzi, co ich łączy z Xanadu.

Gdy tylko podejrzenia o udziale osób trzecich w wypadku ojca potwierdzą się, albo przeciwnie, będzie mógł je wykluczyć, zabierze siostrę z tego odludzia z powrotem do Sydney. Zarządca znakomicie sobie radzi z prowadzeniem Xanadu, więc może zdać się na niego i mieć kłopot z głowy.

Tymczasem udało mu się odkryć motyw ewentualnego morderstwa. Jeśli opowieści o jego ojcu są prawdziwe, poprzedni właściciele rancza mieli wiele powodów, żeby go nienawidzić.

Zaryzykował i spojrział na oddalający się samochód terenowy blondynki. Nie, nie mógł się teraz rozpraszać. Rozwiązanie zagadki śmierci ojca było najważniejsze. Zdecydowanie ważniejsze od pary niebieskich oczu i pełnych zmysłowych ust.

Skrzywił się z niezadowoleniem. Dziewczyna była wścibska, niemniej go zaintrygowała.

Kimberley o powierzchni większej od Niemiec zamieszkuje około trzydziestu tysięcy mieszkańców, a Levi wcale nie miał zamiaru dołączyć do ich liczby. Postanowił, że nie będzie szukać nowych znajomości. I niepotrzebne mu są żadne komplikacje męsko-damskie.

Plusk z lewej strony otrzeźwił go. Lepiej nie dać się zjeść, pomyślał, i nie stwarzać tej kowbojce okazji do przechwałek typu: A nie mówiłam?

Mimowolnie uśmiechnął się, co ostatnio rzadko mu się zdarzało. Wsiadł do samochodu, który wypożyczył z rancza zamienionego na luksusowy ośrodek wypoczynkowy, i odjechał.

Prawie dwie godziny później Sophie ominęła kolejny wybój na drodze do Jabiru. Starą terenówką zatrzęsło. Teraz, kiedy pora deszczowa się skończyła, drogę na pewno naprawią i zasypią największe dziury, pomyślała z wrodzonym optymizmem.

Była już blisko domu. Dziwne, ale wcale nie czuła zmęczenia. Po spotkaniu z nieznanym przy rzece wstąpiły w nią nowe siły. Nie, nie chciała o nim myśleć. To była jedna z tych chwil, kiedy dwoje ludzi porozumiewa się bez słów, lecz potem rozchodzą się i czar pryska.

Tym razem jednak czar trwał i trwał, a Sophie niecierpliwie czekała, kiedy minie.

To był po prostu jakiś obcy. Wspaniale zbudowany. Z pięknymi oczami. Ze wspaniałymi ustami. Z tajemniczą blizną na brodzie. Ciekawe, co to za pamiątka?

Miała nadzieję, że jakaś kobieta z temperamentem cisnęła w niego talerzem. Kąciki jej ust zadrgały, gdy wyobraziła sobie podobną scenę, lecz zaraz przywołała się do porządku. Ten facet uosabiał wszystko, czego nie znosiła u mężczyzn. Po pierwsze to gbur.

I na dodatek głupi. Sophie zmarszczyła brwi. Nie, wcale nie wyglądał na głupiego. Przeciwnie, sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego. I odważnego. Ciarki jej przeszły po plecach.

Najgorsze, że z daleka czuć od niego pieniądze. Właściwie przypominał jej byłego narzeczonego, doktora Brada Gale'a. Kłamcę. Miała dość lekarzy, kłamców i ludzi, którym się wydaje, że mogą człowieka kupić. I jeszcze podsunąć do podpisu umowę przedmażeńską.

Cieszyła się, że wróciła do Jabiru, do ludzi, którzy mówią to, co mają na myśli i nie knują, jak cię usidlić. Do ludzi, którym jest potrzebna jej wiedza i umiejętności, a nie tylko atrakcyjny wygląd.

Zastanawiała się teraz, czy gdy jej tu nie było, brat nabrał starokawalerskich zwyczajów. Był trochę zaskoczony jej przyjazdem i rzucił jakiś kąśliwą uwagę o najkrótszych zaręczynach w historii.

Sophie przejechała przez miasteczko składające się głównie z pubów oraz budynków z pozabijanymi oknami i dotarła do rodzinnego domu, skromnego, otoczonego werandą i zapuszczonym ogródkiem.

Odziedziczyli go z bratem po rodzicach, którzy z kolei odziedziczyli go po dziadkach ze strony ojca, po tym, jak dziadek zrobił to, co zrobił.

Był to dom schludny i wygodny, lecz w nie najlepszym stanie, ponieważ Smiley odkładał każdego centa na założenie hodowli takiej, jaką dziadek przegrał w karty. A właściwie nie tyle przegrał, co stracił, bo padł ofiarą oszusta i szulera.

Nie, Smiley nie pragnął odzyskać Xanadu. Miał własne plany na założenie rancza hodowlanego i dlatego obecnie jego stado było rozczłonkowane i rozmieszczone po całym Kimberley, podczas gdy on oszczędzał na kupno ziemi. Sophie nie mogła się jednak pogodzić z tym, że i ojciec, i brat musieli tak zaciskać pasa, żeby do czegoś dojść w miejscu, gdzie się urodzili.

- Chyba załadowałeś bydło wcześniej, bo po drodze nie widziałam ciężarówek z naczepami - zaczęła, podchodząc do werandy, lecz urwała i przystanąła w pół kroku.

Smiley nie był sam.

- Sophie, poznaj Odette. - Brat wskazał drobną brunetkę. - Odette spodziewa się dziecka. Przyjechała z Sydney. Zatrzyma się w okolicy przez tydzień albo dłużej, dlatego na wszelki wypadek chciała nawiązać kontakt z położną.

Sophie uścisnęła wymanikiowaną dłoń kobiety, a przy okazji zauważyła elegancki drogi zegarek. Brad kupił jej podobny. Zostawiła go w Perth.

Odpędziła od siebie wspomnienia. Musi się pilnować. Złe doświadczenia nie mogą wpływać na jej ocenę ludzi. W końcu dzięki bogatym turystom miejscowi mają pracę.

- Witamy w Jabiru - rzekła i spytała: - Długo czekasz?

- Przyleciałam godzinę temu. - Pomalowane koralową pomadką usta ułożyły się w uśmiech. Odette miała słodką buzię i nienaganny makijaż, co przy panującym upale było nie lada osiągnięciem. - Powinnam zadzwonić, ale wydawało mi się, że ambulatorium będzie czynne.

Sophie obejrzała się za siebie na stojący po drugiej stronie ulicy budynek zamieniony na przychodnię.

- Odwiedzałam osadę Aborygenów. Dzisiaj przypada dzień porad dla kobiet. Razem z dojazdem zajęło mi to kilka godzin.

- Smiley wszystko mi wyjaśnił - odparła Odette i nieśmiało spojrzała na brata Sophie.

Odpowiedział jej uśmiechem. Niesłychane! Sophie zmarszczyła brwi.

- Odette sama przyleciała helikopterem - wtrącił.

- Masz licencję pilota? No, no - rzekła Sophie z podziwem, a w myślach dodała: I w zaawansowanej ciąży siadasz za sterami, no, no.

Odette wzruszyła ramionami.

- Latam dla przyjemności. Za to ty jesteś położną. No, no.

Sophie roześmiała się.

- Również dla przyjemności. Moja przyjaciółka, Kate, druga położna, ma własny samolot i przylatuje tu ze swojego rancza - odrzekła. Odette wydała jej się bardzo sympatyczna. - Czyli spodziewasz się dziecka, tak? Przejdźmy do przychodni, to cię zbadam, dobrze? Odette odwróciła się do brata Sophie.

- Dzięki. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Smiley uklonił się szarmancko i uniósł kapelusz akubra. Idąc obok Sophie na drugą stronę ulicy, Odette zauważyła:

- Masz przystojnego brata.

Sophie aż zamrugała z wrażenia. Nigdy o tym nie pomyślała. Smiley to Smiley i już.

- Dla mnie wciąż jest piegowatym chudzielcem.

- Ja żadnych piegów nie zauważyłam - odparła Odette rozmarzonym tonem.

Sophie skrzywiła się. Bogate dziewczyny z wielkiego miasta nie pasują do Smileya.

- To helikopter twojego męża? - spytała niezbyt taktownie.

- Nie mam męża - odparła Odette bez mrugnięcia okiem. Nie była głupia. - Ojciec mojego dziecka nie żyje.

Ale palnęłam gafę, pomyślała Sophie. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Przepraszam - wybąkała.

- Nie szkodzi. Takie rzeczy lepiej wyjaśnić sobie od razu. Zresztą to nie był miły człowiek. A co do helikoptera, to należy do ośrodka, w którym się zatrzymałam.

- Xanadu - domyśliła się Sophie.

Xanadu, dawniej ranczo hodowlane, obecnie luksusowy ośrodek rekreacyjny, dzieliło od Jabiru około stu kilometrów. Dom zamieniono na pięciogwiazdkowy hotel z wyśmienitą kuchnią i wybornymi winami, a w programie pobytu były wycieczki z przewodnikiem do wąwozów i gorących źródeł. Właściciele zamienili pastwiska w park, zostawiając niewielkie stado bydła dla dekoracji. Nie tak to wyglądało za czasów dziadka.

- Nie wiedziałam, że mają helikopter dla gości - dodała.

Odette wzruszyła ramionami.

- Poprosiłam zarządcę, a on się zgodził. - Nagle Odette spojrzała na Sophie, jak gdyby przyszedł jej do głowy świetny pomysł. - Jak chcecie, mogę zabrać ciebie i Smileya na wycieczkę.

- Dziękuję, ale może innym razem? Przecież jesteś w ciąży.

- Jakbym słyszała mojego brata.

Dlaczego Sophie nagle pomyślała o nieznanym znan rzeki, który był tu tylko przejazdem?

- Wysoki, z blizną na brodzie, dość ponury?

- Znasz Leviego? - zdziwiła się Odette.

- Ma na imię Levi? Tak, wyobraź sobie, że dzisiaj natknęłam się na niego przy brodzie na rzece Pentecost. - Sophie przemilczała fakt, że stał o wiele za blisko wody. Nie chciała denerwować Odette. - Ostrzegłam go, że w rzece rezydują krokodyle.

Odette zrobiła taką minę, jak gdyby się nad czymś zastanawiała, po czym przybrała zwykły wyraz twarzy.

- On wie o krokodylach, ale dzięki za troskę. Levi to fajny facet, tylko zapomniał, że można cieszyć się życiem.

I przystojny, Sophie dodała w myślach. Lepiej zmienić temat, zdecydowała i spytała:

- Kiedy masz termin porodu?

- Za miesiąc.

Sophie ukryła zdziwienie. To chyba pomyłka, pomyślała. Zerknęła na swoją towarzyszkę. Może się bandażuje?

- Zgadzam się z twoim bratem, że nie powinnaś latać - odezwała się. - Gdzie jest teraz twoja matka?

- Umarła, kiedy byłam dzieckiem. - Boże, kolejna gafa! Na szczęście Odette nie wyglądała na dotkniętą. - Wychowywał mnie Levi - wyjaśniła. - Nasz ojciec uciekł z inną kobietą,

kiedy byłam jeszcze całkiem mała. To dlatego Levi jest taki poważny. Od wielu lat jest głową rodziny.

Za dużo tych rewelacji naraz, pomyślała Sophie. Pchnęła drzwi przychodni i zaprowadziła Odette do małego pokoju zabiegowego.

- Zmierzę ci ciśnienie, dobrze? Potem zbadam brzuch i posłuchamy bicia serduszka dziecka. Jeśli masz przy sobie kartę przebiegu ciąży, zrobię ksero i gdyby wyniknęły jakieś problemy, zadzwonisz, a ja wszystko ci wyjaśnię. Okej?

Odette uśmiechnęła się promiennie.

- To brzmi jak przyjęcie do szpitala.

- Tutaj nie przyjmujemy porodów, chyba że sytuacja jest nadzwyczajna. - Wskazała krzesło koło biurka. - Usiądź, proszę.

Odette zajęła miejsce i wyciągnęła rękę, którą Sophie owinęła rękawem aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Za kilka dni i tak wracamy do Sydney - rzekła.

Aha, pomyślała Sophie. Czyli Levi nie kłamał, mówiąc, że jest tu tylko przejazdem. Ale po co ciągnął ze sobą ciężarną siostrę?

- Ciśnienie idealne. Sto dziesięć na sześćdziesiąt oznajmiła, wyjmując słuchawki z uszu. - A teraz - wskazała leżankę - połóż się i sprawdzimy, gdzie to twoje dziecko się schowało. Odette zaśmiała się.

- Wszyscy mi mówią, że mam mały brzuch, ale ja sama, kiedy się urodziłam, ważyłam zaledwie dwa i pół kilograma - wyjaśniła. - USG pokazało, że to chłopiec.

Położyła się i podciągnęła bluzkę. Sophie zbadała jej brzuch i potwierdziła przybliżony termin porodu. Potem wzięła aparat Dopplera do badania tętna płodu i przyłożyła w miejsce, gdzie namacała rączkę dziecka. W pokoju rozległo się głośnie bicie serca. Oczy Sophie i Odette spotkały się. Obie pomyślały o tym samym, o cudzie macierzyństwa.

- Idealnie - stwierdziła Sophie. - Sto czterdzieści uderzeń na minutę.

- Dziękuję ci - rzekła Odette. - Teraz czuję się znacznie pewniej. - Wstała i wygładziła bluzkę. - Ile jestem winna? - zapytała.

- Nic. Takie badanie jest bezpłatne.

- W takim razie zapraszam ciebie z bratem w weekend do Xanadu na kolację. Przylecieć po was helikopterem?

Boże, tylko nie to! A myślała, że jutro, najdalej pojutrze wyjeżdżają. Odprowadziła Odette do drzwi i rzekła:

- Dziękuję, ale boję się latać. Poza tym nie wiem, jakie Smiley ma plany. Ja sama dopiero niedawno wróciłam z Perth.

- Zadzwoń pod koniec tygodnia. - Odette przystanęła, jak gdyby nowy pomysł wpadł jej do głowy.

- Albo wiesz co? Skoro nie lubisz latać, to może przyjedziecie samochodem i zostanieie na noc? Właściwie tak będzie jeszcze przyjemniej.

- Porozmawiam z bratem - obiecała Sophie. Ani myślę, dodała w duchu.

Odette wyciągnęła z torebki złotą puderniczkę, otworzyła ją i szminką pociągnęła usta. Sophie uśmiechnęła się. Tutaj w buszu rzadko się malowała.

- A właściwie to jak twój brat ma na imię? - spytała Odette i zatrzasnęła puderniczkę.

Sophie musiała pomyśleć chwilę, zanim odpowiedziała:

- William.

Odette pokiwała z namysłem głową i oświadczyła:

- To ja tak go będę nazywała. William.

- Dawno nikt się do niego nie zwracał w ten sposób - rzekła Sophie. Czy to coś znaczy? Miała nadzieję, że nic. - Możliwe, że już zapomniał, że tak ma na imię.

- Tym bardziej - skwitowała Odette.

Tego samego popołudnia Levi nalał siostrze schłodzonego soku, a sobie piwa, a potem spojrzął z werandy na parów poniżej. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, co Odette mówiła.

- Powtórz jeszcze raz. Co zrobiłaś?

- Zaprosiłam Williama i Sophie na weekend. Położną, która mnie zbadala, z bratem. Zjedzą z nami kolację, przenocują i następnego dnia pojedą.

Miał ochotę ją udusić.

- Czy nie uprzedzałem, że nie chcemy zwracać na siebie uwagi, dopóki nie odkryję, czy ktoś z tutejszych nie nienawidził naszego ojca tak bardzo, że wepchnął go do wody krokodylom na pożarcie? Odette skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Nienawidził bardziej od ciebie?

Levi potrząsnął głową.

- Ja go nie nienawidziłem - sprostował. - Ja go nie szanowałem. A to różnica.

Miał zamiar przepisać niespodziewanie odziedziczoną ziemię na siostrę. Ojciec, który ich kiedyś opuścił, z sobie tylko znanych powodów jego uczynił wyłącznym spadkobiercą.

Odette przewróciła oczami.

- Bo nagle się dowiedziałeś, że miał syna z inną kobietą? - spytała. - A wracając do tematu, oni nic nie wiedzą o wypadku taty. Sophie dopiero przeprowadziła się z powrotem z Perth, a William - urwała i kącki jej ust uniosły się w uśmiechu - to William. Do nikogo nie czuje urazy.

- Tego nie wiemy - zauważył Levi. - Widziałeś ich przez chwilę i już są twoimi najlepszymi przyjaciółmi!

- Ją poznałeś.

Jakim cudem? Starannie unikał kontaktów z miejscowymi ludźmi.

- Kiedy?

- Wspomniała, że spotkała cię dzisiaj przy rzece.

No tak. Dziewczyna w terenówce. Ostatnia osoba, przed którą chciałby ujawnić, kim jest i jakie ma zamiary. Dziewczyna, której obraz tkwił w jego pamięci jak rzep na psim ogonie.

- Blondynka, włosy związane w kitkę? Niebrzydka?

Odette zakasłała, a on mimowolnie się uśmiechnął.

Nawiązywanie jakichkolwiek nowych znajomości naprawdę nie leżało w jego planach podczas tej wyprawy. Poza tym musi wracać do Sydney. Pobyt tutaj przedłuża się, a lista oczekujących na operację rośnie. Trudno, stało się. Z ciężkim westchnieniem spytał:

- Dlaczego nie możemy skorzystać z helikoptera? Wtedy nie musieliby nocować.

Odette wzruszyła ramionami.

- Sophie nie lubi latać.

Nie wyglądała na strachliwą.

- Może nie bałaby się tak bardzo, gdyby nie groziło jej to, że pilotka zacznie rodzić w powietrzu? - zażartował.

- Martw się o siebie, a ja się będę martwić o siebie - odcięła się Odette.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pięć dni później

- Nie wiem, jak dałam ci się na to namówić - odezwała się Sophie.

Smiley wpatrywał się w drogę przed sobą i nawet nie odwrócił głowy.

- Cały tydzień byłaś podminowana.

- A ty zachowywałeś się jak pomylony - odparowała, szukając zaczepki.

Smiley zerknął na nią z ukosa, lecz milczał.

Trudno. Drobną utarczką słowną pozwoliłaby jej na chwilę zapomnieć o tremie, jaka ją zżerała przed ponownym spotkaniem z posepnym bogaczem. W myślach unikała nawet używania jego imienia.

Żalodne i śmieszne.

Niestety Smiley nie dał się sprowokować, więc Sophie skupiła się na podziwianiu widoków. Z prawej strony w dali majaczył masyw Cockburn, z lewej ciągnął się step pokryty wyschniętą trawą i klocowatymi drzewami eukaliptusowymi, sięgający aż po żółtobrunatne skały, którym zachodzące słońce nadawało fioletowy odcień.

Sophie wiedziała, że cieniste wąwozy i parowy kryją gęste skupiska tropikalnej roślinności i głębokie jeziora wypełnione wodą tak samo zimną, jak dreszcz, jaki przechodził jej po plecach na myśl o spotkaniu z bratem Odette.

Żeby o nim zapomnieć, skupiła uwagę na kępach drzew. W Perth brakowało jej ich widoku, szczególnie beczkowatych szarych baobabów australijskich.

- Co masz do Odette? - zniecka odezwał się Smiley.

W jego głosie wyczuła obronną nutę, postanowiła więc nie żartować.

- Nic. Trudno jej nie lubić. Sprawia wrażenie uroczej. Tylko nie chcę, żebyś cierpiał, kiedy wróci do Sydney.

Słyszając to, Smiley zrobił niezadowoloną minę. Bardzo rzadko reagował w ten sposób, toteż Sophie natychmiast poczuła się winna.

- Przepraszam, wiem, że nie mam prawa oceniać twoich znajomych - zaczęła się usprawiedliwiać. - Naprawdę uważam, że Odette jest świetną dziewczyną. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić jej w buszu albo ciebie w wielkim mieście. Ale to nie mój interes.

- Dzięki - burknął Smiley.

Nie za troskę, lecz za przyznanie, że to wyłącznie jego sprawa.

Uff. Zdołała zepsuć mu humor, a to wcale nie było jej zamiarem. Kiedy po śmierci rodziców zaczęła mu matkować, nie buntował się, ale z Odette najwyraźniej przekroczyła granicę. Musi zasznurować usta i zaufać rozsądkowi Smileya.

Łatwiej by jej było się hamować, gdyby wysłała go do Xanadu samego. Miała nieodparte wrażenie, że jej niepokój o brata wynika z niepokoju o samą siebie w kontekście spotkania z tajemniczym Levim.

Smiley skręcił z głównej bitej drogi w czerwony trakt wiodący przez busz. Przejechali przez kilka strumieni, minęli kilka zakrętów wśród wzgórz i wjechali na teren prywatny oznaczony znakiem: Zakaz wjazdu.

- Miłe powitanie - mruknęła Sophie pod nosem, a Smiley rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Znasz jej brata?

- Przelotnie.

Ona też potrafi być oszczędna w słowach. Smiley nie ciągnął tematu.

Przed sobą widzieli teraz niski długi budynek na skarpie nad parowem. Sophie była zbyt mała, by zapamiętać Xanadu z czasów wizyt u dziadków. Słyszała tylko, że później dom został podzielony na luksusowe apartamenty.

Ładne miejsce na wakacje, jeśli się ma platynową albo chociaż czarną kartę kredytową, ale nie, jeśli jest się w ósmym miesiącu ciąży, pomyślała. Po co Odette i jej brat przyjechali tutaj akurat teraz?

A co powiedzą inni goście, kiedy zobaczą, obcy samochód naruszający ich prywatną przestrzeń? Jaki miesiąc teraz mamy? Kwiecień. Sam początek sezonu.

Przed głównym wejściem osłoniętym daszkiem wspartym na dwóch filarach pojawiła się Odette ubrana w muślinowy kaftan, który musiał kosztować majątek. Wyglądała bardzo wdzięcznie.

Sophie kątem oka zerknęła na brata. Na jego twarzy malował się niemy zachwyt, jak gdyby ujrzał ósmy cud świata. Westchnęła i sięgnęła do klamki, lecz drzwi same się otworzyły.

- Witamy w Xanadu.

Levi wyciągnął do niej dłoń, a Sophie nie była pewna, czy ma ją uścisnąć, czy wesprzeć się na niej, wysiadając z samochodu. Skąd on tak od razu się tu wziął? Zaskoczył ją, nie zdążyła przybrać odpowiedniej miny.

Zwalczyła pokusę, by się cofnąć, i zmusiła się do podania mu ręki. Spojrzenie, jakiemu towarzyszył zaskakująco silny uścisk jego chłodnych palców, wywołało w niej dreszcz emocji.

Tymczasem Odette zaczęła witać się ze Smileyem.

- Cieszę się, że cię znowu widzę, Williamie - szczebiotała, uśmiechając się jednocześnie do Sophie. - To mój brat, Levi - szybko dokonała prezentacji. - Chodź, oprowadzę cię.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Smiley obejrzał się na siostrę, która uśmiechnęła się do niego, jak gdyby chciała mu powiedzieć: nie przejmuj się mną.

- Odette bywa bardzo spontaniczna - odezwał się Levi ponurym głosem.

- Za to mój brat nie - odrzekła Sophie. - Przynajmniej dotychczas tak mi się wydawało.

Levi przybrał ironiczny wyraz twarzy i powtórzył:

- Witamy w Xanadu. Zaraz przyślę kogoś po wasze bagaże - dodał.

- Przywykliśmy sami nosić bagaże - wzbraniała się Sophie.

- Jako gospodarz będę się czuł urażony - odparł Levi. - Chodźmy.

Sophie poddała się i podążyła za nim w stronę werandy.

- Ośrodek właściwie jeszcze nie zaczął działać, więc mamy cały dom i cały teren dla siebie - mówił dalej.

- To bardzo miło - wybąkała Sophie. Cały czas się zastanawiała, jak tego dokonali. Muszą albo bardzo dobrze znać właścicieli, albo mieć tony pieniędzy. Lepiej nie poruszać tego tematu, uznała. - Kiedy zaczyna się sezon?

Levi spojrzał w niebo.

- Zależy od pogody i stanu dróg, chociaż była mowa o przyszłym tygodniu.

- Rozumiem, że ciebie i Odette już tu nie będzie.

- Chcesz się nas pozbyć?

- Wspomniałeś, że jesteś tylko przejazdem - przypomniała mu. - To było tydzień temu.

- Skłamałem - oświadczył bez cienia wstydu.

Sophie zamrugała z wrażenia. Instynkt jej nie zawiódł. Wiedziała, że ten mężczyzna jest niebezpieczny, że znajomość z nim oznacza kłopoty. Że to kłamca taki sam jak Brad.

- W tych stronach ludzie są raczej prawdomówni... Levi zmrużył oczy, jak gdyby się domyślał, że Sophie ma uraz na tym punkcie.

- Okoliczności z każdego mogą uczynić kłamcę.

- Podobno.

Levi spojrzał na nią spod oka. Miała nadzieję, że jej zde gustowana mina nie uszła jego uwadze.

- Złe doświadczenia z jakimś facetem, he?

- Poszukam brata - stwierdziła Sophie i odwróciła się, lecz Levi chwycił ją za ramię.

Na twarzy Sophie odmalowało się zdumienie. Może Levi się nie orientuje, że ludzie w buszu unikają zbytniego zbliżania się do siebie i naruszania swojej prywatnej przestrzeni? Na przykład Smiley witał się pomachaniem ręką, zamiast uściskiem dłoni. Co innego w mieście. Tam ludzie są przyzwyczajeni do ocierania się o siebie na ulicy albo w windzie.

- Przepraszam - zreflektował się. - Zaczynamy naszą znajomość od nieporozumienia. Już dwukrotnie nadepnęliśmy sobie na odcisk. Jak ci się wydaje, dlaczego tak się dzieje?

Nie, nie dam się wciągnąć w te dywagacje, pomyślała Sophie. Zmierzyła Leviego chłodnym wzrokiem.

- Nie interesują mnie niczyje odciski - wypaliła. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Proszę - rzekł i gestem wskazał, aby szła przodem.

Sophie wyminęła go i ruszyła po schodach w górę, cały czas czując na plecach wzrok Leviego. Na werandzie spotkali Smileya i Odette, podziwiających zachód słońca. Lecz Levie mu trudno było się skupić na widoku wzgórz skąpanych w ognistych promieniach. Zawsze podobały mu się kobiety o długich szyjach, a Sophie miała szyję przypominającą łodygę orchidei. Założyłby się, że jej skóra jest tak samo aksamitna w dotyku jak płatki kwiatu. Z miejsca, gdzie stał, nie widział oczu Sophie, ale wiedział, że są niebieskie jak jej sukienka. Widział natomiast wysokie kości policzkowe, lekko zadarty nos i cudowne wargi.

Odwrócił wzrok i pociągnął spory łyk piwa. Co się z nim dzieje? Gdzie się podział ten trzeźwy przepracowany facet, który tydzień temu przyjechał do Kimberley? W agencji turystycznej twierdzili, że Kimberley to kraina przygód.

Nagle ogarnęła go pokusa przeżycia przygody wcale nie turystycznej.

- Odette powiedziała mi, że jesteś położną - odezwał się.

Teraz widział jej oczy z dużymi czarnymi źrenicami, Gdzieś kiedyś czytał, że rozszerzone źrenice świadczą o erotycznym podnieceniu. Jeśli to prawda, to u mnie pewnie nic nie zostało z tęczy, pomyślał.

Sophie powiodła palcem po brzegu szklanki, a jemu nawet ten drobny ruch wydał się bardzo zmysłowy.

- I pielęgniarzką środowiskową, i wszystkim innym, kiedy tylko pojawi się potrzeba.

Niemal pożałował, że nic mu nie dolega.

- To chyba bardzo trudne. Musisz mieć dużo pracy.

- Lubię swoją pracę - odparła - nawet nie waham się powiedzieć, że ją kocham - dodała. -

Przy okazji poznaję uroczych ludzi, takich jak na przykład Odette.

Czyli praca to jej pasja. Szczęściara. Z nim też tak było. A teraz nawet nie chciał rozmawiać o pracy.

- Odette wspomniała, że niedawno wróciłaś z Perth.

W jej postawie wyczuł nagły chłód. Nawet jej źrenice skurczyły się i oczy stały się znowu jasnoniebieskie. Sophie uniosła podbródek, a Levi pożałował, że poruszył ten temat. Choć może to i dobrze?

- Owszem. I cieszę się, że jestem znowu w domu.

Jej głos również był zimny, zupełnie inny niż wtedy, kiedy mówiła o pracy. Odstawiła szklankę i zwróciła się do Odette:

- Cudowny widok, prawda?

Sophie nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o Perth. W Perth zrobiła z siebie niezłą idiotkę i musi się mieć na baczności, by nie popełnić tego błędu tutaj. Może brat Odette wyglądem różni się od Brada, lecz zachowaniem bardzo go przypomina. Już zdołał pokazać, że jest niegodnym zaufania gburem. Bogatym, bezdusznym, nieświadomym tego, że rani innych.

A ona przyrzekła sobie, że już nigdy więcej nie będzie powtórką z rozrywki.

Chciałaby tylko, żeby przestał się jej tak bacznie przyglądać. Cały czas czuła na sobie jego wzrok. Studiuje ją, jak gdyby była jakimś rzadkim okazem fauny, jakiego jeszcze nigdy nie spotkał. Miała ochotę zrazić go do siebie jakąś ciętą uwagą, lecz oczywiście nic jej nie przychodziło do głowy. Za to w nocy na pewno dozna olśnienia, pomyślała cierpko. Cóż, on wyglądał bosko, ale ona postanowiła nie poddawać się jego czarowi. Musi być przyzwyczajony do tego, że kobiety w mieście mdleją na jego widok, ale przyjechał w niewłaściwe miejsce i tu nie wzbudza takiego zainteresowania.

Tutaj kobiety oczekują od mężczyzny czegoś więcej niż tylko wyglądu amanta.

- A ty, czym się zajmujesz, Levi? - zapytała.

- Prowadzę w Sydney własne przedsiębiorstwo - odparł enigmatycznie.

Aha. Jego dłonie świadczą o tym, że nie wykonuje pracy fizycznej. Znakomitej kondycji fizycznej nawet w myśli nie chciała komentować.

Levi uniósł brwi i dodał:

- Masz bardzo wyrazistą twarz. Grymas twoich ust świadczy o tym, że zdziwiło cię, że w ogóle cokolwiek robię, prawda?

- Możliwe.

Nie chciała ciągnąć tego tematu. Skoro sam nie chce ujawnić szczegółów, jego sprawa. Im mniej o nim wiem, tym lepiej. Sophie odsunęła się od niego odrobinę.

- Moja siostra mówi, że nie lubisz latać helikopterem.

Uprzejmość nakazywała odwrócić się w jego stronę i odpowiedzieć. Może w końcu sam się zrazi i zostawi ją w spokoju?

- Nie mam nic przeciwko helikopterom - odrzekła. - Po prostu nie lubię latać.

Levi przysunął się bliżej.

- Szkoda - odparł. - Przydałaby ci się licencja pilota, biorąc pod uwagę odległości, jakie musisz pokonywać.

Sophie pomyślała o Kate, która miała samolot. Brakowało jej odwagi pójść za przykładem przyjaciółki.

- Jakoś daję sobie radę. Levi machnął tylko ręką.

- To zupełnie inny świat. Nawet ja muszę przyznać, że tutejsza okolica oglądana z góry robi oszałamiające wrażenie.

Zaraz nie wytrzymam, pomyślała Sophie. Levi doprowadzał ją do szału.

- Kimberley robi oszałamiające wrażenie nawet oglądane z ziemi - odparowała.

Levi odstawił szklanekę.

- Widzę, że kolejny raz poczułaś się urażona. Sophie wzruszyła ramionami.

- Busz nie jest dla każdego.

- Tobie to odpowiada?

Lewiego najwyraźniej trudno było obrazić.

- Ma to swoje dobre strony.

Gdy kelner zaprosił ich na kolację, Levi szarmancko przepuścił Sophie przed sobą. Weszli do oświetlonej świecami oranżerii zamienionej na jadalnię. Przez szklany sufit widać było rozgwieżdżone niebo, a stół nakryty był białym obrusem i srebrną zastawą.

- Przepięknie tutaj - zachwyciła się Sophie.

- Owszem - przyznał Levi takim tonem, jak gdyby sam się temu dziwił.

Nawet to ją uraziło. A co, tutaj w buszu nie mogą żyć w cywilizowanych warunkach?

Ku zaskoczeniu Sophie kolacja upłynęła w bardzo przyjemnej atmosferze. Dołączył do nich również zarządca ośrodka, Steve, przystojny młody człowiek o nienagannych manierach, jednak Sophie nie zapalała do niego sympatią.

Natomiast bliska więź pomiędzy Levim i siostrą rzucała się w oczy, a Sophie musiała przyznać, że jej się to podoba. Rodzina jest ważna. Czyli Levi ma też i dobre cechy, chociaż ona nie chciała ich dostrzec. Poza tym Levi jako gospodarz dwoił się i troił, żeby goście dobrze się czuli. Co prawda Brad też był wspaniałym panem domu.

Odette była bardzo ożywiona, a „William” brylował w swoim końcu stołu. Sophie kilkakrotnie gryzła się w język, by nie odpowiadać za niego, w końcu doszła do wniosku, że brat wspaniale sobie radzi w towarzystwie i z powodzeniem mógł przyjechać do Xanadu sam. Świetnie!

Aż w końcu rozmowa zesłała na helikoptery i pojawiła się propozycja wspólnej wycieczki.

Sophie nie wytrzymała i wtrąciła:

- Chyba nie spodziewacie się, że z wami polecę. Helikoptery czasami spadają.

Levi oparł się o tył krzesła.

- Nieprawda, same nie spadają - zaprzeczył z uśmiechem.

Po winie Sophie rozwiązał się język. Wyciągnęła palec wskazujący w jego stronę i rzekła:

- A co się dzieje, kiedy silnik przestaje pracować? Nagle wszyscy spojrzeli na Leviego w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

- Występuje zjawisko autorotacji - wyjaśnił. - Wirnik pobiera energię od strug napływającego powietrza, pośrednio od ciężaru opadającej maszyny. Pilot zachowuje pełną kontrolę nad sterowaniem i może wylądować. Tyle że lot nie jest taki długi.

- Czyli jak długi? - spytała Sophie z niedowierzaniem.

- Wystarczy, żeby bezpiecznie wylądować i żeby pasażerom nic się nie stało.

Levi wbił w nią wzrok, jak gdyby prowokując, by mu nie wierzyła.

- I co potem? - spytała. - Można ponownie wystartować?

Levi potarł brodę.

- Nie zawsze się to udaje bez szkody dla helikoptera.

Sophie milczała.

- W Xanadu są dwa helikoptery - wtrącił Steve - i nigdy nie mieliśmy z nimi żadnego problemu.

Uśmiechnął się przy tym uprzejmie, a Sophie poczuła się jak pies, którego gładzi się po głowie. Nie wiedziała dlaczego, ale miała ochotę zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy. Usłużność tego faceta działała jej na nerwy.

Zerknęła na Leviego. Może się przyzwyczaił, że mu nadskakują?

Obserwowała go, jak pełnił honory domu. Musiała przyznać, że czynił to ze swobodą i wprawą. Potrafił włączyć Smileya do rozmowy i zachęcić do opowiadania o swoich pasjach. Sophie ze zdumieniem zauważyła, że jej brat uległ urokowi Leviego.

Nie, ona nie ma najmniejszego zamiaru iść w jego ślady. Właściwie to najchętniej pojechałaby do domu, albo przynajmniej opuściła jadalnię.

Kiedy uprzątnięto ze stołu, wstała i odeszła w najdalszy koniec werandy, gdzie znalazła schody i ścieżkę okalającą dom. Gwiazdy mrugały do niej.

Rozpoznała konstelacje: Krzyż Południa, gwiazdozbiór Oriona, Mleczną Drogę. Ławka pod ogromnym baobabem stanowiła idealną kryjówkę. Kusila. Sophie usiadła, wsłuchując się w kojący szum liści nad głową.

W pewnej chwili na werandzie pojawił się Levi z telefonem satelitarnym przy uchu i czar prysł.

Typowy mieszczuch, pomyślała Sophie. Nie może obyć się bez telefonu, wydawania poleceń podwładnym, upewniania się, że wszyscy wiedzą, jaki jest ważny. Albo jak Brad, sprawdzania, że jego kobieta cierpliwie czeka w domu, podczas gdy on flirtuje.

Chciałaby go zobaczyć na jakimś pustkowiu bez telefonu pod ręką. Przekonać się, jak sobie poradzi.

W pewnej chwili Levi dostrzegł ją i zakończył rozmowę. Sophie schowała się głębiej pod koronę drzewa. Czuła się odrobinę wina, że tak nieładnie myślała o człowieku, którego ledwo знаła, lecz gorycz doznanego niedawno zawodu wciąż ją paliła i nie pozwalała uwolnić się od uprzedzeń.

Levi zszedł ze schodów i przystanął. Pewnie nie chce zakurzyć sobie bucików, złośliwie pomyślała Sophie.

- Kawa czeka, jeśli masz ochotę - usłyszała. - A może chcesz ją wypić tutaj?

Sophie wstała i zbliżyła się do niego.

Niebieski materiał, z którego uszyta była jej sukienka, szeleścił przy każdym kroku.

- Dziękuję, wypiję z wami - rzekła.

Oboje jednak nie mieli wątpliwości, że im mniej będą ze sobą przebywać, tym lepiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy następnego dnia rano Levi wszedł do jadalni na werandzie, trafił na zabawną scenę.

Jego siostra, trzepocząc rzęsami i uśmiechając się słodko, usiłowała namówić Williama na wycieczkę helikopterem po okolicy. Proponowała wypad do Bungle Bungle, niezwykłych prehistorycznych gór na skraju pustyni Tanami. Poziome pasy czarnych porostów i pomarańczowego krzemu stwarzają niezwykły efekt i nadają nagim zboczom tygrysi wygląd.

Pomysł urządzenia tam pikniku wywołał przerażenie na twarzy Sophie. Levi odgadł, że przejażdżka helikopterem jest ostatnią rzeczą, na którą miałyby ochotę, lecz kiedy na niego spojrziała, zorientował się, że jeszcze mniejszą ma ochotę zostać z nim sama w Xanadu.

To też było zabawne. Do pewnego stopnia. Nigdy przedtem nikt aż tak jawnie nie unikał jego towarzystwa.

Podszedł i zajął miejsce tuż obok niej przy stole. Siadając, udem trącił jej udo. Poczuł, jak zeszywniała. Świeży ziołowy zapach jej szamponu drażnił mu nozdrza. Kusiło go, żeby nachylić się i powąchać jej włosy. Tuby dopiero było!

W porannym słońcu jej skóra nabrała złotego blasku jak miód na placuszku, który właśnie jadła. Leviemu przypomniały się godziny nocnej udręki, kiedy usiłował nie myśleć o biodrach i wargach Sophie. Wszystko wskazywało na to, że przechodzi kryzys.

- Dzień dobry - odezwał się.

- Dobry - wymamrotała.

Rzuciła mu przy tym szybkie spojrzenie z ukosa i skuliła ramiona, chcąc uniknąć kontaktu fizycznego.

Levi zacisnął wargi, by się nie uśmiechnąć. Zaczęło mu to wchodzić w zwyczaj. Dziwne.

- Dobrze spałaś? - zagadnął.

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Kolejne ukradkowe spojrzenie. Zlitował się teraz nad nią i odrobinę odsunął z krzesłem, dając jej więcej swobody.

Zastanawiał się, co w niego wstąpiło. Zazwyczaj nie prowadził tego rodzaju gier z kobietami.

- A ty? - zapytała.

- Niestety nocna symfonia była wyjątkowo głośna. Sophie uniosła brwi.

- Odgłosy natury nie dawały ci zasnąć? Biedaczek. Zapominasz, że przyjechałeś do pierwotnej dziczy. - Uniosła głowę i dodała: - Lepsze to niż nieustanny hałas ruchu ulicznego, prawda?

Może niepotrzebnie się nad nią lituję, potrafi się bronić, pomyślał Levi i zabrał się do jeżdżenia. Odette cały czas flirtowała z Williamem.

- Odette? - odezwał się do niej Levi, kiedy wszyscy po śniadaniu wstali. - Pamiętaj, że Sophie niezbyt lubi latać, więc żadnych popisów, dobrze?

Odette zasalutowała.

- Tak jest, kapitanie!

Sophie spojrzała na niego z wdzięcznością.

Levi miał zamiar przed powrotem do Sydney przejrzeć pewne dokumenty, lecz patrząc na lazurowe niebo nad Kimberley, zmienił plany. Odette naprawdę nie powinna zasiadać za sterami, a Sophie wyglądała, jak gdyby szła na ścieżce.

Pobiegł na lądowisko. Zdążył, zanim wystartowali.

Na jego widok Sophie pomyślała, że koniec końców mogła zostać w Xanadu, tym bardziej że teraz Odette i William mieli usiąść z tyłu, a jej przypadł fotel obok pilota, lecz postanowiła nie psuć wszystkim zabawy i nie grymasić.

Sztywna ze strachu, zajęła przydzielone jej miejsce. To jakieś szaleństwo, myślała. Jak dałam się w to wciągnąć? Jak dałam się usadzić w helikopterze bez drzwi, zabezpieczona przed śmiercią tylko jednym pasem?

Levi usiadł za sterami. Gestem wskazał Sophie słuchawki. Kiedy je nałożyła, usłyszała w nich pytanie:

- Słyszysz mnie? - Odwróciła się w jego stronę i potwierdziła skinieniem głowy. - Słuchawki automatycznie przełączają się na odbiór - wyjaśnił. - Jeśli chcesz coś powiedzieć, musisz nacisnąć ten guzik - poinstruował, potem obejrzał się do tyłu i spytał: - Wszystko w porządku? Pasy zapięte?

- Roger - przez trzaski przebił się głos Odette. Levi rozejrzył się po pustym lądowisku.

- Startujemy - zakomunikował i uruchomił rotor.

Sophie mocno zacisnęła powieki. Hałas w słuchawkach stawał się coraz potężniejszy, pod stopami czuła drganie maszyny, fotel przechylił się w jedną stronę, potem w drugą. Poku-

sa, by zobaczyć, gdzie są, okazała się silniejsza od strachu i Sophie ostrożnie uchyliła jedną powiekę.

Zobaczyła rzekę na dnie parowu, dach domu, wierzchołki drzew. Wszystko to było bardzo ekscytujące. Wzniesli się jeszcze wyżej. Sophie otworzyła drugie oko. Podłoga przed nią była przezroczysta. Co za obłądny pomysł, pomyślała. Znowu zamknęła oczy, lecz natychmiast je otworzyła i zerknęła na Leviego, który w skupieniu wpatrywał się w tablicę przyrządów.

Co sprawdza? Wszystko w porządku? Może facet rzadko się uśmiecha, ale teraz to nie wada, pomyślała. Widać, że poważnie traktuje potencjalne zagrożenie.

Węzły. Robią osiemdziesiąt węzłów na godzinę. Ile to będzie w milach? Paliwo. Siedemdziesiąt galonów. Pełny zbiornik. Czyli jeśli się rozbijemy, to zamienimy się w kulę ognia. Sophie odwróciła wzrok.

Lepiej podziwiać widoki, niż patrzeć na te wszystkie zegary. Latała samolotami odrzutowymi pomiędzy Perth i Kununurra, lecz na znacznie większej wysokości, poza tym nigdy nic nie widziała, bo zawsze wybierała miejsce przy przejściu, a nie przy oknie. W słuchawkach rozległy się trzaski, po nich natomiast głos Leviego:

- Zgodnie z życzeniem Odette przelecimy nad wodospadem, a potem udamy się nad jezioro Argyle. Po drodze obejrzymy kilka farm hodowlanych, którymi interesuje się William. Później zobaczymy Bungle Bungle, a w drodze powrotnej kopalnię diamentów.

Sophie nacisnęła przycisk przy słuchawkach.

- Bogaty program - skomentowała. - A będziemy gdzieś lądować?

Levi odsłonił w uśmiechu zęby.

- Gdziekolwiek sobie zażyczysz.

Zdusiła w sobie pokusę wykrzyknienia: Tutaj! Kiwnęła tylko głową i zerknęła na zegarek. Za kilka godzin będą w domu. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Następna godzina lotu minęła zaskakująco szybko. Z wysokości, na której się znajdowali, wodospad wyglądał wprost surrealistycznie, a krople wody błyszczały na tle wąwozu niczym diamenty.

Ogromne jezioro Argyle zdawało się nie mieć brzegów. Zajmowało powierzchnię siedem razy większą od portu w Sydney i może dlatego przelot nad nim trwał siedem razy dłużej, niż Sophie się spodziewała.

Kiedy znaleźli się nad farmami hodowlanymi, Smiley poprosił Leviego, by zatoczył koło i pokazał im, jak ukształtowanie terenu tworzy naturalny korral dla bydła. To o tych pastwiskach marzył.

Sophie starała się skupić na konsekwencjach założenia hodowli w miejscu odciętym od świata przez co najmniej cztery miesiące w roku podczas pory deszczowej, lecz przychodziło jej to z trudem. Podczas okrążania siła grawitacji pchała ją do przodu i tylko pas bezpieczeństwa trzymał ją w fotelu. Straszliwa wizja, że klamra puści, a ona wypadnie z helikoptera, nie pozwalała jej myśleć o niczym innym.

- Możemy wylądować? - zapytała, przerywając Smileyowi wywód na temat logistyki dostarczania bydła do punktów skupu.

Helikopter wrócił do lotu poziomego.

- Za kwadrans dotrzemy do Bungle Bungle - odparł Levi. - Wytrzymasz?

W jego głosie nie było ani krzty kpiny, lecz wyłącznie troska. Dodało jej to otuchy. Poza tym Levi wyciągnął rękę i dotknął jej przedramienia. Mimo że nie darzyła go przecież zaufaniem, pomogło.

Dziwne, pomyślała, dotyk ręki Brada, z którym bądź co bądź była zaręczona, nigdy nie działał na nią tak magicznie.

Kiwnęła potakująco głową, oparła się plecami o tył fotela i zamknęła oczy. Myśl o czymś przyjemnym, mówiła sobie w duchu. Oddychaj głęboko. Wszystko będzie dobrze.

I właśnie w tej chwili silnik zaczął się krztusić, zakasłał i stanął. Sophie gwałtownie otworzyła oczy.

Z przerażeniem zobaczyła, że Levi zaciska dłonie na wolancie, starając się utrzymać kurs.

- Musimy szybko wylądować - rozległo się w słuchawkach, a zaraz potem już nic nie słyszała, lecz z ruchu warg Leviego domyśliła się, że wzywa pomocy i podaje ich położenie.

Przypomniała jej się rozmowa przy stole. W razie awarii silnika helikopter schodzi do lądowania jak szybowiec.

Levi okłamał ją, oczywiście.

Uświadomiła sobie, że z tyłu siedzą Odette i Smiley. Sparaliżowana strachem nie była w stanie się obejrzeć. Wszyscy zginieją, pomyślała. I dziecko Odette też zginie. Nie! Musimy przeżyć. Ta myśl otrzeźwiła ją. Przecież jest położną. Jediną osobą z jakimiś kwalifikacjami medycznymi. Oni jej potrzebują. Dziecko Odette jej potrzebuje. Musi się trzymać. Dla nich.

Znowu zerknęła na Leviego, który z kamienną twarzą siedział za sterami. Bogu dzięki, że zdecydował się polecieć z nami, pomyślała i poczuła się pewniej.

Ziemia przybliżała się do nich w zastraszającym tempie. Sophie zdążyła jeszcze przycisnąć podbródek do mostka i ramionami objąć się za kolana. Potem usłyszała tylko huk i trzask oraz krzyk Odette, a może to ona sama krzyknęła? Kabina podskoczyła na kamieniach, przechyliła się w jedną stronę, potem w drugą, następnie przód i w tył, i końcu znieruchomiała.

Sophie powoli podniosła głowę i spojrzała na Leviego. Nie ruszał się. Twarz miał koloru popiołu, oczy zamknięte, długie rzęsy dotykały policzków. W pierwszej chwili pomyślała, że nie żyje, lecz później zobaczyła, że jego klatka piersiowa wznosi się i opada. A więc oddycha.

Serce w niej zamarło. Dotknęła bezwładnie zwisającej ręki Leviego i odszukała puls. Był przyspieszony, lecz równomierny. Sophie odetchnęła z ulgą, gdy tymczasem z tyłu dobiegł cichy jęk.

Ostrożnie obejrzała się za siebie.

- Odette? Smiley? Nic się wam nie stało?

- William chyba stracił przytomność - odpowiedziała Odette. - Co z Levim?

- Nieprzytomny, ale puls ma mocno wyczuwalny. Z tamtej strony uderzyliśmy w jakieś krzaki i dlatego oni obaj bardziej ucierpieli - rzekła Sophie i z lękiem spytała: - Co z dzieckiem?

- Chyba w porządku. - Odette głos się łamał. - Musimy się stąd wydostać i ich wyciągnąć. Paliwo!

Sophie zaczęła się mocować z klamrą pasa. Wizja płomieni potęgowała jej panikę. Nagle poczuła rękę Leviego na swojej dłoni.

- Ja to zrobię.

Oprzytomniał! Bogu niech będą dzięki!

- Straciłeś przytomność - wyjaśniła mu.

- Uhm - mruknął.

Zamrugał powiekami, potarł czoło i nagle krzyknął:

- Wyskakujcie!

Obejrzał się za siebie, lecz Odette była już na zewnątrz i szarpała Smileya, usiłując go ocucić.

Sophie wygramoliła się z kabiny i pospieszyła jej z pomocą. Smiley jęknął, lecz nie otworzył oczu. Sophie uniosła mu powieki i obejrzała źrenice. Zmniejszyły się pod wpływem światła.

- Smiley! Obudź się! Rusz się!

Smiley zamrugnął powiekami i wymamrotał:

- Co się stało?

- Później, chłopie - odezwał się Levi. - Teraz cię wyciągniemy, chociaż myślę, że gdyby zbiornik paliwa miał wybuchnąć, to już by to zrobił.

Odsunął Sophie i Odette na bok i rozkazał:

- Pod tamte drzewa. Szybko!

Odette odwróciła się i pokuśtykała w kierunku drzew, lecz Sophie ani drgnęła.

- Może nie powinniśmy go ruszać? - zapytała.

- Nie mamy wyboru - uciął Levi. - Możesz poruszać palcami rąk i nóg? - zwrócił się do Smileya.

- Czuję ból w nodze.

- Mrowienie?

Smiley potrząsnął głową i spróbował podciągnąć się na rękach, lecz skrzywił się z bólu i z głośnym jękiem przycisnął jedną rękę do piersi.

- Okej, trzymaj rękę, a ja cię wyciągnę - stwierdził Levi, chwycił Smileya i jednym ruchem wyciągnął go z wraku.

W tej samej chwili ze zbiornika paliwa dobiegło syczenie.

- Dobrze, że dopiero teraz - mruknęła Sophie.

Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od rozbitego helikoptera, Levi zdecydował:

- Poczekamy, aż silnik ostygnie, potem sprawdzę, co z radiem. Odette? - zwrócił się do siostry. - Jak się czujesz? Dziecko w porządku?

- Nic mi się nie stało - uspokoiła go Odette. - Mały trochę kopie jak zwykle. Co z Williamem?

- Nic poważnego. Bardziej martwię się o ciebie.

Levi i Sophie wymienili spojrzenia. Sophie podprowadziła Odette do najbliższego drzewa i pomogła jej usiąść.

- Posiedź tu spokojnie - poradziła. - Spadliśmy z nieba na ziemię. Żyjemy, ale dzieci nie lubią takich sensacji. Nie masz żadnych skurczów? Na pewno?

Odette pogładziła się po brzuchu.

- Na pewno.

- To świetnie, ale siedź i się nie ruszaj. Teraz zajmę się Smileyem.

- On ma na imię William - poprawiła ją Odette. - Smiley brzmi głupio, a on nie jest krety-
nym.

Sophie aż zamrugła z wrażenia. No, no. Jeszcze tylko tego brakowało.

- Zgoda. Zajmę się Williamem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Levi z zaciętą miną wpatrywał się we wrak helikoptera i z niedowierzaniem potrząsał głową.

- Silnik nie powinien się tak zachować - odezwał się.

Podczas gdy Odette i Smiley milczeli, Sophie spytała:

- Co się mogło stać?

Levi zignorował jej pytanie i zwrócił się do siostry.

- Zauważyłaś coś niepokojącego podczas przeglądu przed startem?

Odette skrzywiła się.

- Ja tylko zapaliłam silnik, a Steve zajął się resztą.

- To nie twoja wina - odrzekł Levi spokojnym tonem. - Nie mogę uwierzyć - dodał pod nosem - że sam nie sprawdziłem maszyny. Popełniłem niewybaczalny błąd.

Spojrzał w niebo i stwierdził:

- Usmażymy się w tym słońcu. Musimy poszukać cienia i wody. Pójdę w górę wąwozu i sprawdzę, czy nie ma tam strumienia albo jeziora.

Jak zwykle obejmuje dowodzenie, pomyślała Sophie i uważnie mu się przyjrzała. Wciąż był blady, na skroni zaczynał już pojawiać się siniak. Wyrzuca sobie zaniedbania, a przecież uratował nas wszystkich.

- Nie, nie, ja pójdę - zaprotestowała - tylko zbadam Odette i Sm... Williama - poprawiła się. - Przed chwilą straciłeś przytomność - dodała. - Powinieneś zostać w cieniu.

Zerknęła ukradkiem na niego, chcąc sprawdzić, jak zareagował na jej propozycję. Sądząc po gniewnym spojrzeniu, jakim ją obrzucił, nie był zadowolony.

- Jeszcze nie umarłem, a ciebie nikt nie wybrał kapitanem. Sam potrafię decydować o sobie - oświadczył.

Sophie wzruszyła ramionami. Nie dała się zastraszyć, tym bardziej że Levi chwiał się na nogach. Głupi bufon.

- To drobiazg. Ponieważ jestem jedyną osobą mającą coś wspólnego z medycyną, a ty wyglądasz jak widmo, uważam, że powinieneś trochę odpocząć po tym, czego dokonałeś wcześniej. Wciąż jesteś kapitanem, tylko odrobinę poturbowanym, więc lepiej grzecznie posiedź w cieniu, dobrze?

Levi oniemiał. Sophie wiedziała, że zaskoczyła go jej stanowczość. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Sophie tymczasem obejrzała się na Odette i ściszonego głosem ciągnęła:

- Ktoś musi mieć oko na twoją siostrę i zawołać mnie, gdyby zaczęła się skarżyć na ból, obojętnie jaki, chociaż postaram się szybko wrócić. - Spojrzała na brata i zdecydowała: - Ale jeszcze przedtem sprawdzę, co z nim.

Levi cały czas stał nad nią, kiedy badała Smileya. Miała ochotę powiedzieć mu jeszcze raz, by usiadł, ale ugryzła się w język. Nie chciała przeciągnąć struny. Pewnie odkąd skończył szkołę, nikt mu nie mówił, co ma robić. Chociaż korona by mu z głowy nie spadła, gdyby posłuchał dobrej rady.

- Boli? - zwróciła się do Smileya i dotknęła siniaka pod prawym okiem, potem guza nad uchem. - Nieźle oberwałeś. Zamknij oczy. Raz, dwa. Teraz otwórz.

Smiley zastosował się do polecenia, a Sophie obserwowała, jak jego źrenice reagują na światło. Potem zajrzała mu do uszu, lecz na szczęście nie znalazła śladu żadnych wydzielin. Pomyślała, że tak samo powinna zbadać Leviego, lecz kiedy tylko na niego spojrzała, rzucił:

- Moje uszy są w porządku. I źrenice też. Sophie wzruszyła ramionami. Nie chciała kolejnego starcia.

- Twoja sprawa - mruknęła i zajęła się ramieniem brata. - Wygląda na to, że znowu wybiłeś sobie bark - zauważyła tonem starszej siostry.

Smiley skrzywił się.

- Niestety.

- Nastawię ci go. Już to przerabialiśmy. - Z ręką na sercu, wcale nie miała na to ochoty. -

A staw skokowy?

- Boli.

Wszyscy spojrzeli na jego spuchniętą stopę. Sophie obmacała kostkę, lecz nie wyczuła złamania. Biedny Smiley.

- Założymy ci łupki i znajdziemy jakiś kij, żebyś mógł o własnych siłach pokonać przynajmniej krótki dystans. Masz ze sobą nóż? - Smiley kiwnął głową i zdrową ręką poklepał się po kieszeni na biodrze. - Znakomicie - ucieszyła się i spytała: - Chcesz, żebym teraz nastawiła ci bark, zanim opuchlizna się zwiększy?

- Im prędzej, tym lepiej - syknął Smiley przez zęby. Sophie odwróciła się do Leviego.

- Pomożesz mi? - poprosiła.

Levi spojrział na nią z powątpiewaniem.

- Jesteś pewna, że wiesz, jak się do tego zabrać?

Czy jemu się wydaje, że robi to dla zabawy? Wie, i ciarki ją przechodzą na samą myśl o tym.

- Już dwa razy w życiu nastawiałam mu bark - oświadczyła.

Levi otworzył usta, potem je zamknął, ponownie otworzył i powiedział:

- Skoro William ci ufa, chętnie pomogę. Tylko mów, co mam robić.

Czyli teraz zdaje się całkowicie na nią, a jeszcze przed chwilą upierał się, że on tu rządzi. Chciała mu to wytknąć, lecz zrezygnowała. Nadal wyglądał niewyraźnie, więc spytała:

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze - uspokoił ją. Zdążył wziąć się w garść. - Co ze znieczuleniem?

Sophie potrząsnęła głową.

- Przed chwilą był nieprzytomny. W tej sytuacji znieczulenie nie jest dobrym pomysłem.

Przyklękła obok brata, po czym odgarnęła kamienie i patyki, by mógł się położyć. Potrzebna jej była mocna taśma, żeby opasać nią Smileya. Levi ciągnąłby końce do siebie, a ona starałaby się nakierować wybitą kość we właściwe miejsce. Uznała, że najlepsza będzie jej własna bluzka. Ewentualnie koszula Leviego, ale doszła do wniosku, że nie chce oglądać jego nagiego torsu. Ten widok mógłby wryć jej się w pamięć.

- Wykorzystam moją bluzkę - oznajmiła.

Zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, odwróciła się do nich tyłem, zdjęła bluzkę, rozpostarła ją na ziemi, zwinęła w rulon i opasała Williama pod pachami. Levi, który przyklękął z drugiej strony leżącego, wziął od niej końce rulonu i przytrzymał pod zdrowym barkiem.

Ja powinienem się tym zająć, myślał, ale uznał, że to nie jest odpowiedni moment, by ujawniać, że jest niejako kolegą po fachu. Gdyby to uczynił, Sophie byłaby wściekła. Poza tym

minęło sporo lat, odkąd zajmował się medycyną ogólną. A Sophie w szortach i koronkowym biustonoszu podobała mu się bardziej niż w seksownej niebieskiej sukience. Z szacunku dla niej skupił całą uwagę na jej dłoniach, zamiast na odsłoniętych piersiach. Podziwiał jej spokój i pewność ruchów. Wobec jej doświadczenia jego dyplom lekarza był niczym.

- Ja będę ciągnęła jego ramię do siebie - wyjaśniła teraz - a twoje zadanie polega na tym, żeby utrzymać go w jednej pozycji, dlatego ty ciągnij za te końce do siebie. Gotowi?

Zgięła rękę brata w łokciu tak, że palce wskazywały niebo, z którego przed chwilą spadli, i zaczęła delikatnie, lecz zdecydowanie, odciągać ją od tułowia, potem obróciła w stawie barkowym, jak do pozycji przy rzucie piłką baseballową. W końcu rozległ się cichy trzask i wszystko trafiło na właściwe miejsce. Sophie omal się nie rozplakała.

- Teraz potrzebny ci temblak - oznajmiła.

- Dziękuję, siostró - szepnął Smiley.

- Błagam, nigdy więcej - odpowiedziała. - Wiesz, jak nienawidzę tych zabiegów.

Pocałowała brata w zroszone potem czoło, a Levi pomógł jej wstać i na jedno mgnienie objął ją i przytulił. W duchu wdzięczna mu była za ten gest, bo nogi się jej trzęsły ze zdenerwowania. Zamknęła oczy, czoło oparła mu na mostku. Właśnie tego potrzebowała. Już po chwili doszła całkowicie do siebie. Cofnęła się, Levi opuścił ramiona.

- Dzięki - szepnęła. - Nie znoszę zadawania bólu.

Własna szczerość wprawiła ją w zdumienie. Levi wyglądał na równie zaskoczonego tym wyznaniem, co ona. Sophie dumna była ze swojej niezależności, a Leviego uważała za ostatnią osobę, przed którą odkryłaby swoją słabość. To tylko skutek doznanego szoku, stwierdziła w duchu.

Spojrzała na zwiniętą w rulon bluzkę w jego rękach. Levi rozłożył ją i jej podał.

- Świetnie się spisałaś - pochwalił.

Bała się podnieść oczy, by nie zobaczył jej łez.

- Muszę oberwać pasek z dołu na temblak - wybąkała.

- Weź moją koszulę - zaproponował. - Jest większa. Poza tym chyba nie chcesz opalić sobie paska na brzuchu, prawda?

Sophie posłusznie nałożyła bluzkę. Cały czas starała się zapanować nad wzbierającym płaczem. Wzięła kilka głębokich oddechów i dopiero potem odwróciła się do wszystkich.

Ku jej zaskoczeniu Levi sporządził całkiem udany temblak i prawidłowo go założył.

- Skończyłeś kurs pierwszej pomocy z wyróżnieniem? - zażartowała.

Spostrzegła, że Odette i Levi wymienili porozumiewawcze spojrzenia i że Levi nieznacznie potrząsnął głową. Była jednak zbyt wyczerpana, by się zastanawiać nad tymi tajemniczymi znakami.

- Zgadłaś - odezwał się Levi i zwrócił się do Smileya z pytaniem: - Jak ramię?

- Jak nowe.

Wiedzieli, że nadrabia miną. Bark musiał nadal go boleć.

Levi uśmiechnął się do niego krzywo.

- Potrafię też bandażować zwichnięte kostki, ale tym zajmiemy się, jak Sophie znajdzie wodę, zgoda?

- Tak jest, kapitanie!

- W helikopterze mieliśmy kilka butelek - dodał. - Zaraz je przyniosę i przy okazji sprawdzę, co się stało z radiem. - Potarł podbródek i dodał: - Idź, dogonię cię.

Sophie westchnęła. Ale uparciuch.

Zaczęła powoli iść w stronę żlebu, zadowolona, że może pobyć chwilę sama. Patrzyła pod nogi, szukając śladów zwierząt.

- Jesteś pewna, że znajdziemy wodę? - tuż przy niej rozległ się głos Leviego.

Podskoczyła przestraszona. Nie słyszała jego kroków.

- Jestem - oświadczyła.

- W porządku - odrzekł, lecz zdążyła zauważyć, jak z powątpiewaniem uniósł brwi.

- Pora deszczowa dopiero się skończyła - wyjaśniła - więc w zagłębieniach skał i jeziorach powinna wciąż być woda.

Wiedziała, co mówi. Odbyła niejedną wyprawę w góry. Miała tylko nadzieję, że woda nie będzie zbyt stęchła. I oby jej wystarczyło, dopóki nie nadejdzie pomoc. Co powinno nastąpić szybko, o ile wezwanie pomocy poszło w eter.

- Nie mogę uwierzyć, jak mało brakowało, abyśmy się roztrzaskali o ziemię - odezwała się po chwili.

Dla Sophie nie ulegało wątpliwości, komu zawdzięczają życie. Levi milczał. Sophie zastanawiała się, czy zawsze jest taki małomówny.

- Zobacz, jak skały wznoszą się w niebo - rzekła z zachwytem. - I ten ceglasty kolor! Tutajskie góry należą do najstarszych na świecie. Przypominają o milionach lat tworzenia się naszej planety.

- Mnie przypominają o tym, że musieliśmy lądować na kompletnym odludziu, i że mamy bardzo mało jedzenia.

- Rozchmurz się. - Rozpostarła ramiona. - Zobaczysz, na wystęпах i ścianach jaskiń Aborygeni zostawili dla nas całą opowieść o przetrwaniu. Im się udało przez tysiące lat, więc my wytrzymamy dzień lub dwa.

- Daruj sobie ten programowy optymizm.

- A ty przestań zrzędzić!

Zaledwie sto metrów od zniszczonego helikoptera, w masywie górskim, Sophie znalazła szczelinę, której szukała. Zanim weszli do wąskiego wąwozu, obejrzeni się za siebie. Odette i Smiley siedzieli tam, gdzie ich zostawili.

W wąwozie panował chłód, słońce jeszcze nie znajdowało się bezpośrednio nad ich głowami.

- Dobrze by było przeprowadzić ich tutaj - stwierdziła Sophie - szczególnie, jeśli przyjdzie nam długo czekać na pomoc.

- Z ust mi to wyjął - mruknął Levi. Spojrzała na niego z ukosa.

- Zły jesteś na mnie?

- Skądże - zaprzeczył.

Kłamca, pomyślała. Po kilku minutach marszu dotarli do pierwszego jeziora.

- Widzisz?

- Widzę - odparł. - Woda. Ale trochę zzieleniała.

- To tylko glony. I tylko z brzegu. Pośrodku woda jest czysta i, mam nadzieję, zimna. - Levi nie wyglądał na przekonanego. - Wybraliśmy dobrą porę roku na przymusowe lądowanie - zaczęła się z nim droczyć. - Te małe rybki nie wiedzą, że za kilka miesięcy ich staw wyschnie.

- Domyślam się, że obecność ryb dowodzi, że woda nadaje się do picia.

- Oczywiście. Tubylcy je jedzą. My też możemy później spróbować.

Sophie przykucnęła nad brzegiem i nabrała wody do butelki. Kątem oka zauważyła ślad pozostawiony przez węża, przypominający, że muszą uważać na wygrzewające się w słońcu gady. Wolałyby ich nie spotkać.

Niewiarygodna kobieta, myślał Levi z podziwem. Rozmawia ze mną tak, jak gdybyśmy kręcili film przyrodniczy, a nie musieli znaleźć sposób na przetrwanie w jednym z najbardziej zapomnianych zakątków świata.

Tymczasem Sophie zakręciła butelkę i zanurzyła ręce w wodzie. Potem obmyła twarz. Levi oczu nie mógł od niej oderwać, a kiedy mokrą dłonią przetarła kark i dekolt, poczuł, że robi mu się gorąco.

Szybko schylił się i zanurzył dłonie w stawie.

- A więc mamy wodę i kilka małych rybek. Nie wspominając o specjalistce od potraw z żywności czerpanej z australijskiego buszu, która wie, jak ją zdobyć i przyrządzić - odezwał się. - Mogłoby być gorzej - dodał.

- Mogłoby - przyznała. - Nie zapominaj, że żyjemy.

Kiwnął potakująco głową. Wszyscy czworo żyją, chociaż ktoś gmerał w silniku. Na samą myśl o tym miał ochotę gołymi pięściami rozwalić najbliższą skałę.

Sophie musiała zauważyć, że zmienił się na twarzy, bo chlapnęła na niego wodą i zażartowała:

- Podejrzewam, że nie chcesz spróbować larw witchetty. Podobno smakują jak jajka. Mogę jedną ci wykopać.

Levi uśmiechnął się mimowolnie. Poczekaj, jeszcze ci się odwdzięczę, pomyślał, a na głos rzekł:

- Dziękuję, nie skorzystam.

Po chwili ruszyli z powrotem. Kiedy wyszli z wąwozu i zobaczyli wrak helikoptera, dotarło do nich, że życie zawdzięczają jakiemuś cudowi. Fragmenty maszyny leżały porozrzucane dookoła, a kabina przypominała zgniecioną puszkę po napoju.

Odette i Smiley przesunęli się głębiej w cień i usiedli na kamieniach pod urwistą ścianą.

- Nieszczęścia lubią chodzić parami - odezwała się Sophie. - Wolałabym, żeby nic nie spadło im na głowy.

- Racja. Przeniesiemy się do wąwozu, ale najpierw sprawdzę, czy nie ocalało coś, co mogłoby się nam przydać.

Rozdzielili się. Levi podszedł do szczątków helikoptera, zaś Sophie do Odette i brata.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Levi rozłożył zawartość apteczki i skrzynki z narzędziami, chcąc sprawdzić, czym dysponują.

Słyszając głośny śmiech Sophie rozmawiającej z Odette, poniósł głowę. Przynajmniej ktoś potrafi się śmiać w takiej sytuacji jak nasza, pomyślał. Oczu od niej nie mógł oderwać, gdy wstała i zaczęła iść w jego stronę.

Jej biała bluzka była pobrudzona ziemią, włosy potargane, przypominające kępę trawy spinifex porastającej dno kanionu. Wyglądała fantastycznie, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności oraz przeżyty wstrząs spowodowany wypadkiem, który mógł się skończyć śmiercią ich wszystkich. Imponowała mu swoim zachowaniem.

Doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie spotkał takiej kobiety jak ona. Opanowanie, z jakim nastawiała bratu zwichnięty bark, wzbudziło jego podziw. Sam by tego nie zrobił lepiej. Zbyt wiele czasu minęło, odkąd musiał udzielać pierwszej pomocy i cieszył się, że ktoś go wyreczył. Wolał leczyć ludziom oczy.

Czuł się winny, że nie ujawnił, że jest lekarzem okulistą, lecz wydawało mu się, że to nie był odpowiedni moment. Miał nadzieję, że kiedy Sophie dowie się prawdy, uzna to za dobry dowcip, chociaż pamiętając wczorajszą rozmowę w Xanadu, wątpił, by wykazała się aż takim poczuciem humoru. Szkoda, bo odwlekając przyznanie się, że jest lekarzem, pogarsza tylko sytuację. Nie czuł się jednak na siłach rozmawiać teraz o swojej pracy.

Sophie wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie, a jej uśmiech stanowił pewne pocieszenie po szokującym odkryciu, jakiego dokonał, oglądając wrak helikoptera.

- Odette czuje się lepiej? - spytał, kiedy podeszła bliżej.

- Owszem. Smiley też się nie skarży.

- Świetnie - odparł i zamilkł na chwilę. - Chcesz usłyszeć wpierw złą wiadomość czy dobrą?

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

- Chyba najpierw złą, a potem na pocieszenie dobrą - odpowiedziała z wahaniem.

- A więc zła wiadomość brzmi: radio nie działa.

- To fatalnie. - Mina Sophie stała się jeszcze bardziej poważna. - A dobra wiadomość?

- Zbiornik się nie zapalił, bo był pusty.

Sophie zastanawiała się chwilę nad tą rewelacją, w końcu spytała:

- Słyszałam syk. Co to było? Musiał przyznać, że myśli logicznie.

- Olej skapujący na rozgrzany silnik. Sophie zmarszczyła brwi.

- Jak to możliwe, żeby zbiornik był pusty? Widziałam, że wskaźnik pokazywał coś przeciwnego.

Levi miał swoje podejrzenia, lecz były zbyt niepokojące, by się nimi teraz dzielić.

- Musiał przeciekać.

Zmarszczka na czole Sophie pogłębiła się. Levi pomyślał, że wygląda uroczo, lecz natychmiast skarcił się w duchu za niewczesne myśli.

- Spotkałeś się już z czymś takim? Nigdy w życiu.

- Nie można wykluczyć takiej możliwości.

Przyglądał się, jak potrząsa głową - dużo było dzisiaj tego potrząsania - i miał nadzieję, że nie będzie musiał tłumaczyć jej całej reszty. Dał Sophie minutę na przetrwanie tej informacji, potem spojrzał na skąpe zapasy jedzenia, jakim dysponowali.

- Powiedziałeś, że radio nie działa. Jak to możliwe?

Docenił jej opanowanie. Atak hysterii nie był im potrzebny.

- Sam chciałbym to wiedzieć.

Po oczach Sophie poznał, że zaczyna rozumieć grozę sytuacji.

- Ale widziałam, jak tuż przed zderzeniem z ziemią poruszałeś ustami. Mówiłeś do kogoś?

Pamiętał ten moment. Bardzo nieprzyjemny.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć nic pocieszającego. Nie otrzymałem odpowiedzi, więc na wypadek, gdyby jednak mnie słyszeli, podałem tylko naszą pozycję. Nie wiem, czy to się na coś zdało.

Wargi Sophie rozchyliły się, jak gdyby chciała powiedzieć „O”, lecz nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Jej twarz była jak otwarta księga. Żadnego udawania. Była tak inna od kobiet, jakie znał, miała w sobie tyle wewnętrznej siły, że napawało go to niemal przerażeniem. Dzięki Bogu, że nie jest w jego typie. Levi lubił kobiety słodkie i uległe.

Tymczasem Odette i William dołączyli do nich.

- Zdało się czy nie, pomysł był dobry - rzekła Sophie. Levi skwitował jej uwagę uśmiechem. Już drugi raz udało jej się go rozbawić. - Ale masz ze sobą GPS, prawda?

Levi zmienił się na twarzy. Sophie przeniosła wzrok na jego siostrę.

- Chyba ktoś go wyjął i nie włożył z powrotem - stwierdziła Odette.

- Ktoś wyjął? - piskliwym głosem powtórzyła Sophie.

Levi zapragnął otoczyć ją ramieniem, lecz ona, odgadując jego zamiary, cofnęła się.

Spojrzała na Williama, który w milczeniu wzruszył zdrowym ramieniem. Co tu mówić. Ktoś usiłował ich zabić i niemal mu się powiodło. Nikt jednak nie powiedział głośno, że ktoś majstrował przy helikopterze.

Sophie usiadła na najbliższym kamieniu. Zamknęła oczy, westchnęła i wymamrotała:

- Jak to dobrze, że nie jestem kapitanem. - Potem otworzyła oczy, spojrzała na Leviego i spytała: - Co robimy, kapitanie?

- Aha, pani zdaje się na mnie - zażartował, chociaż był zadowolony, że w ten sposób jak gdyby udziela mu poparcia. Nie wiadomo, kiedy przestała działać mu na nerwy. - William mówi, że zna te tereny z ćwiczeń wojskowych i że dzień marszu stąd znajduje się obozowisko Aborygenów - zaczął. - Proponuję, żeby on i Odette zostali, a my we dwójkę udamy się po pomoc.

Sophie przygryzła wargę i rozejrzała się dookoła. Góry sprawiały wrażenie nieprzystępnych.

- To byłoby złamanie naczelnej zasady, która brzmi: nie oddalać się z miejsca wypadku. Nie znajdujemy się zbyt daleko od pustyni, a do piątej po południu słońce pali żywym ogniem. - Spojrzała na zawartość kosza piknikowego. - Ale z drugiej strony, jedzenia mamy niewiele.

- Z ust mi to wyjęłaś. Sophie zmrużyła oczy.

- Jeśli damy im dzisiejszy dzień na wysłanie ekipy ratunkowej - ciągnęła - należałoby czekać tutaj. - Urwała i spojrzała na Odette. - Jakie jest twoje zdanie?

Levi przyglądał się siostrze, która z całej siły starała się panować nad sobą. Żałował, że uległ, kiedy uparła się jechać z nim. Powinna zostać w Sydney.

Odette odgarnęła włosy z czoła.

- William nie zajdzie daleko, zresztą ja też nie. Jeśli będziemy mieli wodę i odrobinę jedzenia, jeden dzień wytrzymamy - rzekła.

Sophie pokiwała głową, a Levi w duchu dziękował Bogu, że ich towarzysze niedoli są rozsądnymi ludźmi. Ciekawe, czy wszyscy mieszkańcy buszu są tacy jak Sophie i jej brat?

Pomijając fakt, że ktoś chciał zabić jego i Odette - chociaż było za mało dowodów na poparcie tej hipotezy - to miejsce zaczynało działać na niego przygnębiająco.

- Czyli wyruszamy jutro raniutko, tak? - Sophie zwróciła się do niego.

Omal znowu się nie uśmiechnął. Sophie już miała taką naturę, że lubiła dyrygować, chociaż podejrzewał, że teraz stara się trzymać swoje zapędy na wodzy.

- Owszem. Wstała i spytała:

- Co mam teraz robić?

- Po pierwsze nazbieramy suchych gałęzi, żeby rozpałcić ogień jako sygnał, gdzie jesteśmy, a potem na drugie ognisko dla nas na noc.

- Jasne. - Sophie ruszyła do roboty, ale przedtem przystanąła przy Odette i spytała: - Żadnych bólów?

Znała priorytety.

Odette potrząsnęła głową i pogładziła się po brzuchu. William zdrową ręką ujął jej drugą dłoń i uściskał. Odette oddała uścisk.

- Dobrze, że to nie ja jestem w ciąży - zażartował.

Levi i Sophie wymienili spojrzenia. Tylko nie to!

Levi doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Siła spadania mogła spowodować oderwanie się łożyska od pępowiny. Tyle jeszcze pamiętał z zajęć z położnictwa.

Sophie przykucnęła, najwyraźniej myśląc o tym samym.

- Ile czasu minęło od naszego rozbicia?

- Przymusowego lądowania - sprostował, udając obrażonego.

- Przepraszam - mruknęła i zwróciła się do Odette. - Ile czasu minęło, odkąd twojemu genialnemu bratu udało się odwrócić zagrożenie i sprowadzić nas na ziemię?

Słowa może były kpiące, lecz tembr głosu Sophie świadczył, że mówi poważnie. Poczuł się potrzebny, ciepło mu się zrobiło koło serca, szczególnie że na myśl o tym, że ktoś dybał na ich życie, przeszywał go zimny dreszcz.

Odette zerknęła na zegarek.

- Wydaje się, że minuty, ale tak naprawdę minęło około półtorej godziny.

- Mogę? - spytała Sophie i wyciągnęła rękę.

Odette kiwnęła głową, a wtedy Sophie położyła jej rękę na brzuchu.

- Podejrzewam, że po takiej przygodzie skurcze mogłyby się zacząć w ciągu najbliższych czterech godzin. Na szczęście nic nie wskazuje na to, że dziecko ma zamiar już się urodzić. Gdybyś cokolwiek poczuła, mów.

- Nawet mi tego nie życz - wzbraniała się Odette.

- Ani mi się śni - zapewniła ją Sophie. - Im dłużej dziecko wytrzyma, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że odczuło wypadek.

Odette przygryzła wargę.

- Nie tak to sobie planowałam - wybąkała. - Marzyłam o urodzeniu w domu.

Sophie przewróciła oczami.

- Nikt z nas nie planował sobie tego, co się stało, chociaż przyznam się, że mnie przyszło to do głowy. Przepraszam, jeśli sprowadziłam na nas nieszczęście - dodała.

Nie ty, pomyślał Levi.

- Jeśli to czyjaś wina - odezwał się cierpkim głosem - to na pewno nie twoja. - Wstał. - Sądzę, że jako byłemu dzielnemu skautowi uda mi się rozpalić ognisko na wypadek, gdyby przelatywał tędy jakiś samolot.

- To ja zbiorę gałęzie - zaoferowała się Sophie i rozejrzała się dookoła. - Czyli będą dwa ogniska, tak? Jedno jako sygnał, drugie dla nas.

Odette otarła pot z twarzy.

- Jest taki upał, że trudno sobie wyobrazić siedzenie przy ognisku.

- Noc będzie zimna - odparł Smiley i ponownie uściśnął dłoń Odette, chcąc dodać jej otuchy.

Biedny Smiley. Cierpi, że jest bezużyteczny, lecz Sophie cieszyła się, że brat może się zająć Odette. Gdyby nie on, dziewczyna wpadłaby w histerię. Już dalej od miasta nie mogła się znaleźć.

Odette pogrzebała stopą w suchej jak pieprz trawie.

- A gdybyśmy wzniecali pożar buszu?

- Dobry pomysł, pod warunkiem, że wiatr wiałby w odpowiednią stronę - odparł Smiley i posługując się zdrową ręką, rozpostarł mapę otrzymaną od Leviego.

- Tutaj, w Kimberley, pożary buszu należą do tradycji - wtrąciła Sophie. - Co dwa lata wypalamy ziemię nawet tak odległe jak ta. Aborygeni robili to od tysięcy lat. Chodziło o to, żeby krzaki nie rosły zbyt gęsto i żeby widać było zwierzęta, na które polują. Poza tym nasiona wielu gatunków tutejszych drzew i krzewów kiełkują dopiero w wypalanej ziemi. Z naszego punktu widzenia to też jest korzystne. Częste pożary sprzyjają kiełkowaniu, co zapobiega ogromnym pożarom, które są trudne do opanowania.

Zebrali swoje rzeczy i ruszyli w stronę wąwozu. Odette rozejrzała się dookoła.

- To miejsce jest tak inne od wszystkiego, co znam - stwierdziła.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby wylądowali na Księżycu.

- My z Williamem kochamy ten kraj - odezwała się Sophie i pomyślała o Perth. Zrobiła to po raz pierwszy dzisiejszego dnia i po raz drugi, odkąd poznała Leviego. Dziwne. - Perth jest pięknym miastem - ciągnęła - ale nie chciałabym tam zamieszkać na dłużej. Najlepiej czuję się tutaj - dokończyła, patrząc na Leviego.

Pamiętała, że dzięki niemu zobaczyła Kimberley z lotu ptaka i przeżyła niezapomniane chwile.

- Nie patrz tak na mnie - zaprotestował Levi i uniósł brwi. - Tu mi się coraz bardziej podoba, chociaż macie wspaniałe rzeki, w których lepiej nie pływać. Podejrzewam, że ocean też nie jest zbyt bezpieczny.

- Owszem, ale mamy też jeziora w górach i tam można się kąpać. Trzeba po prostu wiedzieć, gdzie jest bezpiecznie, a gdzie nie. Na przykład tutaj krokodyle nam nie grożą, ale lepiej uważać na węże.

Levi zerknął na skamieniałą z przerażenia siostrę i wydał z siebie stłumiony dźwięk przypominający chichot, lecz twarz miał nieprzeniknioną. Czyżby naśmiewał się ze mnie? - pomyślała Sophie.

- Nienawidzę węży - przyznała Odette i aż się wzdrygnęła.

- Jeśli jakiegoś zobaczysz - poinstruowała ją Sophie - stań i zacznij się bardzo powoli cofać. Węże również panikują. Mogą przypadkiem ruszyć do przodu i wtedy wygląda to tak, jak gdyby chciały cię dopaść.

- Nie zechcą mnie dopaść, prawda? - mruknęła Odette i ponownie się wzdrygnęła.

Sophie założyłaby się, że Levi śmieje się w duchu, chociaż minę ma poważną.

- Rozumiem, że jesteś również wielbicielką węży - odezwał się.

Sophie potrząsnęła głową.

- Tu jest ich dom. Ktoś mi kiedyś powiedział, że węże mają krótką pamięć, około czterdziestu sekund. Zawsze kiedy stanę oko w oko z takim osobnikiem, wyobrażam sobie, że zaraz zapomni, że tam jestem.

Ruszyli dalej. Odette cały czas rozglądała się na boki i kurczowo trzymała rękę Smileya, podtrzymywanego z drugiej strony przez Sophie.

- Czuję się cholerną zawadą - szepnął do niej.

- Wspomagasz Odette, a to jest bardzo ważne. Jej potrzebny jest twój spokój. Dasz radę, jak zostanieie sami? - zapytała.

Smiley jeszcze bardziej zniżył głos i odparł:

- Dopóki nie zacnie rodzić.

Sophie również szeptem odpowiedziała:

- To tak samo jak u krów czy koni. Smiley zaśmiał się.

- Dzięki. Zanim wyruszyście, dasz mi kilka wskazówek, dobrze, siostró?

Odpowiedziała skinieniem głowy. Musi wierzyć, że Odette nie zacnie rodzić akurat tego dnia, kiedy ona pójdzie sprowadzić pomoc. Taki scenariusz był zbyt przerażający, chociaż to nie od nich zależało.

Smiley obejrzał miejsce, jakie siostra wybrała na obozowisko, i pokiwał głową.

- Przynajmniej mamy blisko do wody.

- Właśnie.

Levi podszedł do nich z długim kijem, jaki znalazł po drodze.

- Będziemy mieli się z pyszna, jeśli rozpęta się tropikalna burza.

Wspólnie zabrali się do roboty. U wejścia do wąwozu, pod występem skalnym, złożyli swoje rzeczy. W kanionie rozpalili ognisko na wypadek, gdyby jakiś samolot tamtędy przelatywał. Popołudnie upłynęło im na wpatrywaniu się w niebo, niestety bez rezultatu.

Uprzedzili Steve'a, że wrócą późnym popołudniem, więc teraz w Xanadu jeszcze nikt nie niepokoje się ich nieobecnością.

Za radą Sophie Levi zajął się ścinaniem długiej trawy na legowiska pod występem skalnym, podczas gdy ona przygotowywała miejsce na ognisko, które miało ich grzać w nocy. Ściana za nimi zatrzyma ciepło, a płomień odstrasza zwierzęta.

O czwartej wszystko było gotowe. Sophie zauważyła, że Odette jest w znacznie lepszym nastroju.

- Sprytna z nas paczka - pochwaliła. - Zupełnie jak w telewizji w jednym z tych survivalowych programów.

- Tylko że nie towarzyszy nam operator z kamerą i telefonem satelitarnym - cierpko odparła Odette. Spojrzała na prawie opróżniony koszyk z jedzeniem, jaki zabrali z myślą o pikniku, i spytała: - Kto skoczy do sklepu?

Sophie rozpostarła ramiona.

- Po co? Tutaj jest mnóstwo jedzenia.

Levi dorzucił ostatnią gałąź do stosu i poprosił:

- Oszczędź nam tych opowieści o specjałach z buszu, błagam. Żadnych larw witchetty.

Nic jednak nie zdołało osłabić programowego optymizmu Sophie.

- Nigdy nie byłam entuzjastką larw - ciągnęła - chociaż podobno do przetrwania wystarczy dziesięć dziennie. Poza tym niedaleko znalazłam drzewo gubinge, na którym rosną śliwki kakadu. Zanim zrobi się ciemno, pokażę wam, gdzie to jest, gdybyście mieli ochotę spróbować.
- Wyciągnęła do Odette garść zielonych owoców przypominających orzechy pecan. - Łatwo je się je.

Smiley w milczeniu obserwował tę scenę. Widać było, że świetnie się bawi, jednak odmówił skosztowania smakołyku. Sophie zgromiła go wzrokiem, że jej nie pomaga. Doceniała jednak, że się nie skarży. Zresztą nikt się nie skarżył. Może powinna zrewidować swoje niepochlebne sądy o mieszkańcach miast?

Włożyła owoc do ust i mocno go nagryzła. Na języku poczuła cierpki smak, ale starała się nie krzywić, gdy żuła miąższ i przełykała.

- Pożywienie tubylców od tysięcy lat. Ma więcej witaminy C od pomarańczy. - Oblizwała wargi i ciągnęła: - Smakiem przypomina jabłko z nutą gruszki. Trochę pikantne. Ciekawe, co wy powiecie? - Rzuciła jeden owoc Odette, drugi Leviemu. - Orzeźwia, a to się liczy, kiedy w pobliżu nie ma sklepów.

- Specjalistka od sztuki przetrwania. Koneserka frykasów z buszu - skwitował Levi i spojrzał na nią spode łba, jak gdyby pytał: Nabijasz się z nas?

Kiedy Sophie ruchem głowy zachęciła go do spróbowania śliwki, wbił zęby w owoc i go zjadł.

- Niezłe - orzekł - choć nie grozi uzależnieniem.

Sophie z aprobatą kiwnęła głową.

- Weźmiemy jutro kilka na drogę - powiedziała.

- Skoro musimy...

Czyli ma poczucie humoru, pomyślała Sophie. Nie tak jak Brad. Wzdrygnęła się. Dlaczego ich porównuję? Poczowała dziwny ucisk w żołądku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego dnia, tuż przed świtem, kiedy nocne ptaki milkły, a papużki faliste zaczynały ćwierkać, Levi i Sophie szykowali się do wymarszu. Wkładając buty trekkingowe, które w Kimberley były nieodzowne, Sophie zerknęła na swojego towarzysza, mającego na głowie pożyczoną od Smileya akubrę. Wyglądał teraz jak człowiek stąd, a nie przybysz z miasta. Tym gorzej dla mnie, pomyślała.

Dlaczego decyduję się na wyprawę w busz z mężczyzną, którego prawie nie znam i któremu nie ufam?

Cóż, siła wyższa, ale muszę mieć się na baczności.

Noc minęła spokojnie. Odette, mimo bólu krzyża i kłopotów z żołądkiem, na nic się nie skarżyła.

- Twoje dziecko to twarda sztuka - stwierdziła Sophie.

- Twardsza od jego mamy - odparła Odette drżącym głosem.

Miała podkrążone oczy i cały czas gładziła się po brzuchu, jak gdyby chciała uspokoić siebie i dziecko, powtarzając, że wszystko dobrze się skończy.

- Jesteś bardzo dzielna - pochwaliła ją Sophie. Włożyła kapelusz, zarzuciła plecak na ramię i dodała: - Zobaczysz, całą tę historię będziesz opowiadać wnukom.

- O ile będę je miała.

Sophie nie ciągnęła tematu.

- Postaramy się wrócić jak najszybciej - obiecała. - Macie wodę i trochę jedzenia. Pod żadnym pozorem nie ruszajcie się z tego miejsca, dobrze?

Odette otarła łzy. Z rozmazanym tuszem przypominała niedźwiadka pandę.

- Nigdzie się nie wybieram - wybąkała. - Żałuję, że nie zostałam w domu.

Sophie przypomniała się elegancka kobieta, która kilka dni temu, po badaniu w ambulatorium, wyciągnęła puderniczkę i malowała usta.

- Wiem - odrzekła. - To naturalne, że martwisz się o dziecko. Ale gdyby mnie spotkało to co ciebie, chciałabym tak dzielnie się trzymać jak ty.

Odette pociągnęła nosem.

- Ty byś nie płakała.

Sophie objęła ją i szepnęła do jej ucha:

- A widziałaś, jak się trzęsłam po nastawieniu ramienia Williamowi?

Odette spojrzała na nią z ukosa,

- Naprawdę? Nic nie dałaś po sobie poznać.

- Cieszę się. - Sophie spojrzała na brata pogrążonego w rozmowie z Levim. Prawdopodobnie udzielał mu ostatnich wskazówek. - Posłuchaj - zaczęła. - To się raczej nie stanie, ale jeśli zaczniesz rodzić, trzymaj się Williama. On się tobą zajmie. Odpreż się, odpoczywaj i pamiętaj, że natura wie najlepiej. Noworodki muszą tylko być przy matce. Pierwszy poród za zwyczaj trwa długo, więc my z Levim zdążymy wrócić. Zaufaj nam.

Oczy Odette ponownie zaszyły łzami.

- Nie powinniście mnie zostawiać. - Chwyła Sophie za ramię. - Nie odchodź.

Sophie mocno ją do siebie przytuliła.

- Wszystko będzie dobrze. Wrócimy tak szybko, jak zdołamy, ale musimy wyruszyć, zanim zrobi się gorąco.

Odette rozplakała się na dobre. Sophie spojrzała błagalnie na Leviego, który podszedł i zaczął uspokajać siostrę.

- To tylko jeden dzień - tłumaczył. - William cały czas z tobą będzie. Zrelaksuj się i podziwiał przyrodę.

Odette aż się zachłysnęła oddechem.

- Zrelaksuj! - wykrzyknęła, potem drżącym głosem, już spokojniejsza, dodała: - Uważajcie na siebie.

- Przylecimy po was helikopterem.

- Levi przyleci - uściśliła Sophie. - Ja będę mu towarzyszyć tylko myślami.

Odette uśmiechnęła się z żartu.

- Tchórz.

Ruszyli, nie oglądając się za siebie. Levi z ciężkim sercem opuszczał siostrę, lecz nie mógł pozwolić, by Sophie szła sama szukać pomocy.

Z początku starał się iść przodem, lecz szybko się przekonał, że Sophie instynktownie wybiera równiejszy szlak i w końcu oddał jej prowadzenie. W pewnej chwili ogarnęły go wątpliwości co do sensu całej wyprawy.

- A jeśli tego obozu tubylców nie ma? - odezwał się.

- Wspólnie podjęliśmy decyzję - przypomniała mu.

- A jeśli przenieśli się gdzieś dalej?

- Dlaczego nie bliżej? Logiczne.

- Podoba mi się twój sposób myślenia - stwierdził. Schylił się, podniósł gałąź nadającą się na kij wędrowca i zaczął torować sobie nim drogę wśród trawy.

- W Kimberley obowiązuje optymizm. Czy ta kobieta istnieje naprawdę?

- Oszczędź mi tej dydaktyki.

- Cóż, są pewne rzeczy, na które nie mamy wpływu. - Pierwsze promienie słońca zapowiadały upał. Sophie rozejrzała się dookoła i stwierdziła: - Bardziej prawdopodobne, że prędzej nas znajdzie jakiś myśliwy, niż my ich.

Leviemu nawet nie przyszło to do głowy.

- Tak sądzisz? A mnie się wydawało, że takie rzeczy dzieją się tylko na filmach albo w książkach.

- Ich szaman wie, że ktoś, kto nie powinien się tutaj znajdować, krąży w pobliżu. Mam tylko nadzieję, że odnajdą nas raczej prędzej niż później.

Robiło się coraz widniej. Teraz wyraźnie już widzieli, gdzie stawiają nogi. Ciekawe, w jakim tempie ona będzie szła, kiedy zrobi się całkiem widno, pomyślał Levi.

- Myślisz, że wyjdziemy z tego bezpiecznie? - spytał.

Sophie przystanąła i spojrzała na niego.

- Możemy zachowywać się rozsądnie i zmniejszyć ryzyko, ale to wielki kraj i słońce mocno pali. Powinniśmy przyspieszyć, dopóki jeszcze możemy.

Ruszyli z kopyta. Po drodze Sophie pokazywała Leviemu rozmaite drzewa i krzewy. Przy niskopiennym szerokolistnym krzaku pomidora wyjaśniła:

- Do jedzenia nadają się tylko dojrzałe owoce. Zielone są tak samo trujące jak zielone ziemniaki. - Zerwała kilka pomidorów i je mu podała. Kiedy nie okazał zainteresowania, włożyła jeden do ust i skrzywiła się. - Podobno chcą je uprawiać na skalę przemysłową jako przyprawę. Mają ostry smak, ale nie wiadomo, czy później nie będziemy musieli się z nimi przeprosić.

Levi miał dość tych opowieści. Poza tym zawsze to do niego ludzie zwracali się o pomoc, a teraz on zdany był całkowicie na Sophie.

- Byłaś kiedyś w Sydney? - spytał. Nawet na niego nie spojrzała.

- Nie.

- Może pewnego dnia pokażę ci moją ulubioną restaurację? Szef kuchni jest jednym z trzech najlepszych w całej Australii.

Właściwie to miałby na to ochotę. Sophie obrzuciła go takim wzrokiem, jak gdyby proponował jej wyprawę na Księżyc.

- Naprawdę?

Tymczasem przed nimi ukazała się odsłonięta równina. Levi miał nadzieję, że nie będą musieli przez nią przebrnąć, lecz Sophie kierowała się prosto w tamtym kierunku. Zakładał, że wie, dokąd idzie. Jak gdyby odgadując jego myśli, odezwała się:

- Jeśli słońce mamy po prawej stronie, to znaczy, że idziemy na północ. Pośrodku równiny jest wyschnięty strumień, ale niewykluczone, że w zagłębieniach zostało jeszcze trochę wody. Dalej, w wąwozie, powinien być staw, więc do południa wodę z pewnością znajdziemy. I wtedy odpoczniemy.

Levi wyciągnął kompas. Sophie miała rację! Czego się zresztą spodziewał? Cóż, musi pogodzić się z tym, że baba wie lepiej. Chociaż w szkole mu to nie przeszkadzało. Przypomniała mu się nauczycielka angielskiego ze szkoły podstawowej, panna Tee, pierwsza kobieta, w której się zakochał. Urocza osoba. Kiedy znudzili się lekcją, wyprowadzała ich na boisko i pozwalała się wyszaleć. Zapamiętał jej długie nogi, tak samo długie jak nogi Sophie. Chociaż teraz przyznawał, że nogi Sophie są zgrabniejsze. Stawiała je pewnie, z gracją. Mimo że bardzo się starała ukryć swoją kobiecość, szorty do kolan raczej ją podkreślały.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak niewiele kobiet widział od przyjazdu, a te, które spotkał, wszystkie nosiły podobne szorty. Może dlatego Sophie wygląda tak atrakcyjnie? Z braku konkurencji? Nie, to nie dlatego. Podejrzewał, że nawet na paryskiej ulicy świetnie by się prezentowała. Poczul na sobie jej wzrok i uśmiechnął się.

- Co cię tak śmieszy? - zapytała. Natychmiast spowaźniał.

- Od przyjazdu tydzień temu widziałem tutaj tylko cztery kobiety - rzekł - a jedną z nich jest moja siostra.

- Miła odmiana. Założę się, że w Sydney każdego dnia widzisz mnóstwo kobiet.

Czyżby w jej głosie zabrzmiała nuta sarkazmu?

Przecież nie ma pojęcia, jak wygląda jego życie. W jakich godzinach pracuje. Jaki stres przeżywa, gdy musi powiedzieć pacjentowi, że nie może uratować wzroku jemu albo jego dziecku. Głównym powodem, dla którego zwlekał z przyjazdem, była kolejka chorych potrzebujących jego pomocy. Myślał, że nigdy nie uda mu się wygospodarować tych kilku wolnych dni.

- No tak, życie playboya to nie bajka.

Sophie przystanąła i zmierzyła go wzrokiem.

- Prowadzisz życie playboya?

Dotknęła go tym pytaniem do żywego. Czy naprawdę ma go za tak powierzchownego faceta?

Przypomniała mu się poczekalnia pełna zdesperowanych ludzi z zaburzeniami widzenia.

- Żartowałem.

- W porządku. Nie przejmuj się. Tutaj też mieszkają kobiety. Kiedy sezon turystyczny na dobre się rozpocznie, trakt wzdłuż rzeki Gibb ożyje. Spotkasz niejedną kobietę, jeśli nadal tu będziesz, chociaż jesteś tu tylko przejazdem - dodała i ruszyła przed siebie.

No tak, pomyślał Levi, zataiłem przed nią, kim jestem i dlaczego przyjechałem, i znowu mi to wytknęła. Nie miał jednak siły wyjaśniać, dlaczego nie chce rozmawiać o pracy.

- Wybaczysz mi kiedyś, że cię wtedy tak zbyłem? - spytał.

Sophie spojrzała na niego niewinnym wzrokiem.

- A co tu wybaczać? Nie ufam ci i tyle.

Miej się, chłopie, na bacności, przestrzegł się w duchu Levi, na głos zaś powiedział:

- Dzięki za szczerość.

Sophie zignorowała tę uwagę i podjęła przerwany wątek.

- W Kimberley sezon turystyczny trwa tylko kilka miesięcy, od kwietnia do początku pory deszczowej, czyli przełomu października i listopada. Większość ludzi wtedy wyjeżdża, bo jak tylko wyjdą z domu, oblewają się potem.

Levi natychmiast pomyślał, że napływ turystów, szczególnie osób w starszym wieku, oznacza większe zapotrzebowanie na usługi medyczne i już chciał spytać, jak sobie z tym radzą przy tak szczupłych siłach, lecz zrezygnował. Bał się uwikłania w kolejne kłamstwa. Żałował jednak, bo zaczął sobie cenić informacje uzyskane od Sophie i jej opinie na wiele tematów.

Przez następną godzinę maszerowali w milczeniu. Levi nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak swobodnie czuł się w towarzystwie kobiety, której nie musiał ciągle zaga- dywać. W końcu spojrzał na jednostajny krajobraz i poprosił:

- Opowiedz mi o tym obozie tubylców, do którego zmierzamy.

Wyrwana z zadumy Sophie zaczęła:

- Klan, którego szukamy, przez większą część roku prowadzi życie półkoczownicze.

Wrócili do tradycji i wędrują w poszukiwaniu jedzenia, zbierają jagody, polują na tłuste kangury. Rytm ich życia zależy od pogody.

- Często zachodzą do miasta?

- Młodzi mężczyźni odbywają ćwiczenia wojskowe, stąd Smiley wie o ich istnieniu. Ja nigdy nie spotkałam nikogo z tego klanu, ale wiem, że pielęgniarki środowiskowe z innych miast miały z nimi kontakt. Skorzystam z okazji i zapytam, czy chcą zaszczepić dzieci.

Levi omal nie parsknął śmiechem. Proszę uprzejmie. Komuś wyjdzie na dobre nasz dramat.

Tymczasem doszli do podnóża następnego pasma gór i mogli skryć się w nikłym cieniu, jaki rzucały. Na szczęście, bo słońce świeciło już bezpośrednio nad ich głowami. Levi postanowił nie proponować postoju, ponieważ wypił niemal cały swój zapas wody, zostawiwszy odrobinę na dnie, na wypadek, gdyby Sophie jej potrzebowała. Chociaż nie spodziewał się, że go o nią poprosi. Lecz w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin tyle zaskakujących rzeczy się wydarzyło, że nie mógł zagwarantować, czy nie czeka ich jeszcze więcej niespodzianek.

- Wygląda na to, że przed nami podzwrotnikowa oaza - odezwała się Sophie.

W jej głosie Levi dosłyszał nutę zmęczenia. On natomiast poczuł przypływ energii.

- Zamieńmy się - zaproponował. - Puść mnie przodem i schowaj się w cieniu za moimi plecami.

- Nic mi nie jest - wzbraniała się.

- Wiem i podziwiam cię, ale pozwól mi pójść przodem i daj mi swój plecak. - Kiedy się wahała, zirytował się: - Na miłość boską, niech się w końcu na coś przydam!

- Dobrze - zgodziła się.

Stanął, a on, wyprzedzając ją, spojrzał na jej twarz. Policzki miała zaróżowione od upału, w oczach zmęczenie.

Pół godziny później natknęli się na pandanowce z długimi liśćmi spiralnie oplatającymi pnie, a odrobinę dalej znaleźli niewielki staw porośnięty glonami.

Sophie spojrzała w górę i rzekła:

- Trochę wyżej znajdziemy czystszej wodę. Chyba warto się wspiąć - dodała - bo posiedzimy tutaj ze dwie godziny, dopóki nie będziemy mieli słońca za plecami.

Obojgu potrzebny był odpoczynek, chociaż trudno było się zrelaksować, kiedy pamiętali o Odette czekającej przy wraku helikoptera.

- Świetnie - zgodził się Levi. - Obiecałaś, że będzie woda i dotrzymałaś słowa. To miejsce jest cudowne. - Rozejrzał się po wąskim pasie tropikalnej roślinności, która wydawała się zupełnie tu nie pasować. Zobaczył wyraźną granicę między ziemią nawilżoną i wyschniętą.

Ruszyli w górę, aż dotarli do ostatniej przeszkody, fragmentu prawie pionowej skały. Levi z zadowoleniem pomyślał, że wspinanie na ścianie, które uprawiał jako chłopak, na coś się mu przyda.

- Wspaniale - zawołał z góry, patrząc na staw obrośnięty paprociami. W niecce pod jedną z palm było wymarzone miejsce do kąpieli. - Woda jest czysta i chłodna.

Odwrócił się, nachylił i wyciągnął rękę do Sophie, chcąc jej pomóc, lecz ona potrząsnęła głową i rozejrzała się w poszukiwaniu innej drogi.

- Nie gryzę - zawołał z irytacją. - Dlaczego chcesz podrapać sobie kolana, kiedy mogę ci pomóc?

Sophie odgarnęła włosy z twarzy, spojrzała w górę i podała mu dłoń.

- Masz rację.

Musiała ją to wiele kosztować, lecz zaufała mu. Był to początek czegoś nowego między nimi, chociaż jeszcze nie wiedział, czego.

- Dzięki - rzekła, kiedy znalazła się na górze, i natychmiast odsunęła się od niego na bezpieczną odległość.

Przyglądali się jeziorku. Małe rybki pluskały się tuż przy brzegu, a szum wody spływającej z góry po kamieniach dominował nad innymi dźwiękami.

Levi przykucnął, napił się wody, potem napełnił nią butelki. Sophie uczyniła to samo. Przyglądając się jej pochylonej głowie, zastanawiał się nad powodem jej milczenia.

- Trapi cię coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć? - odezwał się.

Sophie aż podskoczyła przestraszona.

- Nie. Czy przymusowe lądowanie i konieczność przebycia pustyni w spiekocie dnia po to, żeby sprowadzić pomoc, nie wystarczą?

Racja, lecz jej odpowiedź wydała mu się podejrzanie gładka. Domyślał się, że nie chce mu się zwierzać.

- W porządku.

Najlepiej zostawić ją samą i przestać zwracać na nią uwagę, uznał. Obojgu im wyjdzie to na dobre. Sophie go peszyła, sprawiała, że czuł się jak pryszczaty nastolatek, i wcale mu to nie odpowiadało. Zdjął buty i skarpetki, ściągnął koszulę. Kiedy zaczął rozpinąć szorty, Sophie spytała piskliwym głosem:

- Co ty wyprawiasz?

Spojrzał na nią zdziwiony. Czyżby popełnił jakiś czyn niedozwolony?

- Mam ochotę się wykapać - wyjaśnił. - Jestem spocony, zdenerwowany, a woda aż prosi, żeby się w niej zanurzyć. Coś nie tak?

- Będzie, jeśli zdejmiesz szorty. Nie przywykłam do tego, żeby mężczyźni rozbierali się przy mnie do rosołu.

Żadna kobieta nigdy nie narzekała, że widok jego ciała obraża jej zmysł estetyczny. Ściągnął szorty i został w samych bokserkach, czarnych i bardzo przyzwoitych.

- Zapamiętam to sobie - obiecał.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że mimowolnie wciąga brzuch, i omal nie parsknął śmiechem. Puszysz - się jak paw, skarcił się w duchu, ona i tak na ciebie nie patrzy.

- Ła! Te kamienie są strasznie ostre - poskarżył się.

- Owszem - burknęła.

- Ty się nie kąpiesz? - spytał.

Upał musiał jej doskwierać tak samo jak jemu.

- Najpierw zobaczę, czy coś cię nie ugryzie.

Jej głos zabrzmiał całkiem serio, toteż Levi poczuł się nieswojo.

- Gdzie się podziała ta dziewczyna, która chwaliła mnie za miękkie lądowanie?

Sophie sama chciała by to wiedzieć. Mobilizowała całą siłę woli, by zachować wobec Leviego chłodny dystans, lecz było jej coraz trudniej. Doceniała drobne gesty, jakimi chciał jej dodać otuchy. Najbardziej wzruszył ją dzisiaj, kiedy zaproponował, by schowała się przed słońcem za jego plecami, i wziął od niej plecak. Idąc za nim, cały czas patrzyła na jego muskularne ramiona i uda.

Jak dziewczyna może nie stracić głowy, gdy facet jest tak silny i pewny siebie, a ona słabnie i zaczyna wątpić, czy znajdzie obóz tubylców i czy powinna była zostawić ciężarną Odette pod opieką brata?

Przed chwilą zaś wyciągnął do niej rękę, chcąc jej pomóc wspiąć się po stromej skale. Wiedziała, że jeśli chwyci się jego dłoni, wzleci w górę lekko i swobodnie.

Role się odwróciły, Levi już nie był mieszcuchem zależnym od niej. Strach ją obleciał. Uświadomiła sobie, że coraz częściej i coraz więcej o nim myśli.

Że chce wymazać z pamięci horror ostatnich dwudziestu czterech godzin i strach, że podjęła niejedną złą decyzję.

Takie przeżycia powinny sprawić, że człowiek myśli o rzeczach ostatecznych, o tym, czego chciałby doświadczyć przed odejściem z tego świata i co nie będzie mu dane.

Nie, nie, wzdrygnęła się. To tylko chwila zwątpienia, która minie. Znajdą pomoc, nic złego nie stanie się ani Odette, ani jej dziecku. Za kilka dni Levi z siostrą odlecą do Sydney i wszyscy w Kimberley, nawet ona, Sophie Sullivan, o nich zapomną.

I vice versa.

Głos Leviego przerwał jej rozmyślenia.

- Mówiłem, że nic mnie nie ugryzło! To co, wskakujesz?

Propozycja była kusząca, ale staw był stanowczo za mały na ich oboje.

- Woda wygląda na lodowatą! - odkrzyknęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Levi obrócił się na plecy, a Sophie miała teraz okazję podziwiać jego tors i ramiona. Przełknęła ślinę. Wiedziała, taki widok wcale nie był jej potrzebny.

- Lodowata? Skądże. Woda jest cudownie chłodna, a ja czuję się jak nowo narodzony - zapewnił ją.

Mokre włosy oblepiały mu głowę, a strużki wody ciekły mu po brodzie i skapywały na piersi. Sophie mimowolnie porównała go do Brada. Biedny Brad.

Levi miał mięśnie mocne i pięknie rzeźbione i nawet Smiley wyglądał przy nim jak cherlak. Poczowała ucisk w żołądku. W życiu nie widziała tak imponujących mięśni. Musiała przyznać, że Levi mógł się podobać

Jeśli zdecyduję się na kąpiel, myślała, mogłabym popływać i na niego nie patrzeć, a jeśli teraz się odwrócę, zrobię z siebie idiotkę. Przecież Levi już mnie widział w samym biustonoszu.

- Odwróć się - poprosiła.

Poczekala, aż Levi przewrócił się na brzuch, pokazując plecy, zresztą równie wspaniale, zdjęła buty skarpetki i szorty, a bluzkę położyła nad samym brzegiem, żeby mogła po nią sięgnąć zaraz po wyjściu z wody. Potem wśliznęła się do stawu.

Nie był głęboki, woda sięgała jej do pasa, ale to wystarczyło, by się zanurzyć i schować przed wzrokiem Leviego.

- Już! - krzyknęła i przykucnęła tak, że tylko nos jej wystawał nad powierzchnię.

- Możesz oddychać? - Spojrzał na nią rozbawiony i udał, że chce wzburzyć wodę. - Chcesz, zrobię fale? - zażartował.

- Niektórzy faceci są dzieckiem podszyci - odcięła się. - Założę się, że w szkole byłeś prowodyrem, dyktującym innym, co mają robić, ale ja nie dam się tyranizować.

Zauważyła, że cień przemknął mu po twarzy.

- W grupie lepiej być na górze w hierarchii niż na dole - odparł - ale mogę cię zapewnić, że nigdy nikogo nie tyranizowałem.

- Wszyscy despoci tak twierdzą. Levi potrząsnął głową.

- Mój ojciec był domowym tyranem - odparł. - Wpędził matkę do grobu. Przysięgłem sobie, że nigdy mu tego nie daruję. Zdaje się, że dziadek, bardzo bogaty człowiek, który nie musiał być pazerny na pieniądze, też nie był aniołem. Widać niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Zwierzenia Leviego o trudnym dzieciństwie poruszyły w Sophie matczyne uczucia. Nawet nie miała pojęcia, że w niej drzemią. Jeszcze to mi potrzebne, pomyślała. Błagam, nie mów mi nic więcej, zaklinała w duchu. Wystarczy. Naprawdę.

Papuzka falista, zielona i ruchliwa, ćwierkając, podskakiwała ze swoim towarzyszem wśród gałęzi nad ich głowami. Sophie spojrzała w górę, szukając inspiracji, jak zmienić temat.

- Ojciec ciebie też krzywdził? - spytała, chociaż nie to chciała powiedzieć.

- Mnie nie. Miałem starszego brata, który mnie chronił. Kyle był uosobieniem łagodności. To on nauczył mnie odróżniać dobro od zła. Jestem mu za to do zgonnie wdzięczny.

- Powiedziałeś miałem.

Levi spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem.

- Umarł, kiedy miałem trzynaście lat. Chorował na zwyrodnienie plamki żółtej. Stracił wzrok. Wszedł prosto pod koła ciężarówki. Ojciec twierdził, że Kyle wiedział, że ona nadjeżdża. Nawrzucałem mu wtedy od kłamców.

Levi machinalnie dotknął blizny na podbródku. Sophie miała ochotę wziąć go za rękę, by dodać mu otuchy.

- A według ciebie, jak było?

- Kyle cierpiał z powodu swojej ślepoty, ale za bardzo nas kochał, żeby zostawić nas samych. - Sophie potrafiła sobie wyobrazić, jaką tragedią dla młodego chłopca bez matki była śmierć starszego brata. - Wziąłem na siebie rolę opiekuna Odette i pilnowałem, żeby nie padła ofiarą ojca. - Ponownie potarł bliznę, a Sophie pomyślała, że bardzo by się chciała dowiedzieć, co to za pamiątka.

- Twoja rodzina przeżyła straszny dramat. Levi wzruszył ramionami.

- Nawet najsilniejsi z nas są ukształtowani przez przeżycia z dzieciństwa. - Potrząsnął głową, jak gdyby chciał uwolnić się od przeszłości. - A jak było z tobą? Jesteście z Williamem tylko we dwoje?

Sophie zanurzyła się głębiej i poruszyła głową. Słuchała Leviego z takim napięciem, że mięśnie karku i szyi całkiem jej zdrętwiały.

- Tak. Rodzice zmarli cztery lata temu. To był wypadek. Ich ciężarówka rozbiła się. Na szczęście nie byliśmy już małymi dziećmi. Smiley jest bardzo zgodnym człowiekiem. Poza tym oboje kochamy swoją pracę.

- Smiley. Świetne przezwisko.

- Jak był mały, ciągle się śmiał i dlatego zasłużył sobie na nie.

Sophie pomyślała o bracie, wysokim i poważnym, w którego oczach teraz tylko czasami pojawiał się błysk rozbawienia, i który jest dla niej opoką. Jedyną osobą, której może zaufać. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że Levi posiada cechy, które ceni, i że jemu również mogłaby zaufać.

- Przyznaj się, kto cię zawiódł i złamał ci serce.

Podpłynął do brzegu i oparł się plecami o płaski blok skalny. A ona myślała, że można mu zaufać!

- Dlaczego sądzisz, że mam złamane serce? Levi wzruszył ramionami.

- W porządku. Kto cię zawiódł?

Nigdy nie mówiła o tych sprawach. Smiley nie pytał. Jej przyjaciółka, Kate, spodziewała się dziecka i była zajęta sobą i mężem. Nie chciała brać na swoje barki cudzych problemów. Sophie wróciła z Perth i spuściła zasłonę milczenia na tamtejsze przeżycia.

Obraz Brada zaczynał już nawet blednąć w jej pamięci. I dobrze.

- Był szefem oddziału położniczego w szpitalu, gdzie odbywałam staż. Urodził się w Australii, ale rodzice byli bogatymi imigrantami. Nigdy nie opowiadał, na czym zrobili majątek. Podejrzewam, że dorastał w środowisku, gdzie ceniono inne wartości niż moje.

- Pod jakim względem inne? - dążył Levi.

Gdyby nie chciała odpowiedzieć, nie musiałyby, ale doszła do wniosku, że mówienie o tym pomoże jej samej uporządkować pewne rzeczy w głowie.

- Chodzi mi o sposób, w jaki traktował ludzi. - Tak, tego nie znosiła najbardziej. - Jak gdyby byli służącymi. Ogromne wrażenie robiło na nim to, że mój prapradziadek był jednym z pierwszych osadników w Zachodniej Australii. Kiedy mnie komuś przedstawiał, nigdy nie

omieszkał o tym wspomnieć. Wbił sobie do głowy, że ponieważ mój przodek przetaił szlak do Kimberley, jestem jakąś arystokratką.

- Księżniczka Sophie - zakpił Levi.

- Właśnie. Ale w tym upale i kurzu mało jest okazji do noszenia korony.

Levi zaczął skubać liść. Po chwili spytał:

- A co cię w nim przyciągało?

- Podejrzewam, że to, co zawsze w takich sytuacjach. Był przystojny, miał stanowisko i wpływy, z początku chętnie robił wszystko to, co lubiłam. - Sophie urwała i wzruszyła ramionami. - Emablował mnie w staroświeckim stylu, co mi się podobało. - Nie patrząc na Leviego, dodała: - Nie należę do kobiet szukających za wszelką cenę znajomości z mężczyznami.

Rozległo się plaśnięcie. Levi mokrą ręką uderzył się w czoło.

- Nigdy sam bym na to nie wpadł.

- A wyglądasz na bystrzaka - odcięła się. Levi uniósł obie ręce w geście kapitulacji.

- Przepraszam, wymknęło mi się. Mów dalej. Co się takiego stało?

Sophie sama nie mogła uwierzyć, że komuś o tym wszystkim opowiada, lecz mówienie o rzeczach, których nigdy nie odważyła się wypowiedzieć na głos, przynosiło jej ulgę.

- Zmienił się. Z początku robił wszystko to, co lubiłam, czyli spacerowanie, żeglownictwo, chodzenie po muzeach, ale tak naprawdę wolał dobre restauracje, premiery, słowem pokazywanie się w wielkim świecie. Ze mną u boku. Nie zrozum mnie źle, to też było przyjemne, ale kiedy przyjąłm jego oświadczenia, zaczął się zachowywać tak, jak gdyby przestał mnie szanować. Stałam się jego własnością. - W myślach dodała: chciał się ze mną kochać nawet wtedy, kiedy nie miałam na to ochoty. - Musiałam nosić ubrania, jakie mi kupował, i zawsze sprawdzał, czy mam dobrze dobraną biżuterię, torebkę i pantofle. Raz w tygodniu musiałam iść do salonu piękności, jaki mi wybrał. Poza tym chciał, żebym zrezygnowała z pracy. I zmusił mnie do podpisania umowy przedmałżeńskiej.

Levi aż gwizdnął.

- Długa lista tych warunków.

- Właśnie.

Wtedy Levi zapytał:

- Był taki czas, że go kochałaś?

Trudne pytanie. Wydawało jej się, że tak. Kiedy się zaręczali, przysięgłaby, że darzyła go uczuciem, lecz teraz dostrzegła, że od samego początku nie czuła się w tym związku swobodnie.

- Chyba musiałam, bo godziłam się z wieloma rzeczami, uznając, że on wie lepiej. Potem zaczął wydzwaniać do mnie na komórkę o różnych dziwnych porach w dzień i w nocy. Sprawdzał, gdzie jestem. Kontrolował mnie. Poza tym miałam się odzywać tylko wtedy, kiedy udzielił mi głosu.

- To musiało być najtrudniejsze.

Levi czuł, że kąciki ust same mu się unoszą. Sophie zgromiła go wzrokiem, potem i ona się uśmiechnęła.

- Zapewniam cię, że tak.

Levi doskonale znał ten typ mężczyzn: dla nich najważniejsze są pozory. Ich partnerki muszą stosować się do wyznaczonych reguł, a ich samych żadne reguły nie obowiązują.

Teraz przyszła kolej na mocny cios.

- Był ci wierny?

- Tak myślałam. - Sophie odwróciła głowę i prychnęła: - Oczywiście byłam naiwna. - Levi dostrzegł, jak się zaczerwieniła. Gdyby mógł, strzeliłby tamtego w pysk. - Cały czas sypiał ze swoją sekretarką. Wszyscy o tym wiedzieli. Kłamał na potęgę. Okazało się, że ich romanś trwał wiele lat, ale nigdy nie zaproponował jej małżeństwa. - Sophie potrząsnęła głową. - To mnie najbardziej do niego zraziło, wiesz? Tamta kobieta była dobra do łóżka, ale już niegodna zostać jego żoną. Ohyda.

Może Sophie sama odpłaciła mu się w sposób, jaki mu się należał, pomyślał Levi. Po niej można się wszystkiego spodziewać.

- Co zrobiłaś?

- Sprzedałam pierścioneł zaręczynowy, a pieniądze dałam na bezdomnych. Potem mu o tym powiedziałam i wróciłam do domu. Do Smileya. Rozpoczęłam nowe życie w miejscu, gdzie ludzie mówią to, co myślą, i nie oszukują. Pozostał mi tylko uraz do bogatych lekarzy, którzy kłamią.

Levi odwrócił głowę i skrzywił się. Ma przechlapane. Powinam była ugryźć się w język, pomyślała Sophie.

Po kiego licha zwierzam mu się, odsłaniam przed nim, wystawiam na ciosy? Najwyższy czas zmienić temat.

- W domu od razu poczułam się lepiej - ciągnęła. - Jedyne komentarz Smileya brzmiał: najkrótsze narzeczeństwo w historii. On zawsze ma taką poważną minę, że nigdy nie wiadomo, czy mówi serio, czy żartuje. Chociaż twoja siostra najwyraźniej dobrze się z nim dogaduje. Nigdy nie widziałam go tak ożywionego, jak podczas kolacji w Xanadu.

Levi wzruszył ramionami, lecz na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Odette bardzo go polubiła.

- Chyba trudno by było znaleźć dwoje ludzi pochodzących z bardziej odmiennych środowisk - odparła Sophie.

Starła się zapanować nad twarzą, lecz na jej czole również pojawiła się zmarszczka. Uznała, że Levi domyślił się, że ma wątpliwości co do znajomości brata z jego siostrą. Dobrze. On też nie jest entuzjastycznie nastawiony. Z tego nic nie będzie.

Levi potrząsnął głową.

- Dawniej, to znaczy zanim poznała ojca swojego dziecka, przyznałbym ci rację. Ogromnie żałuję, że nie ustrzegłem jej przed takimi typami jak on. Tom był niebezpiecznym, złośliwym kłownem. Wcale mi nie szkoda, że dziecko nie będzie miało ojca. Wydaje mi się, że twój brat odbuduje wiarę Odette w istnienie rycerskich mężczyzn. - Uśmiechnął się i dodał: - Ale ona jest w zaawansowanej ciąży. Możemy się nie martwić. Nic złego się nie stanie.

Rycerski. Takie staroświeckie określenie, chociaż idealnie pasujące do Smileya.

- A ty jesteś rycerski? - wyrwało jej się. Atmosfera w oazie natychmiast się zmieniła.

- Czasami bywałem. Dopóki życie mnie nie zmęczyło i nie znudziło.

Sophie puściła te słowa mimo uszu. Później się nad nimi zastanowi. Nagle myślała tylko o kształcie jego ust i o tym, jak często kąciki jego warg układają się do uśmiechu.

Z początku uważała Leviego za ponuraka, a najwyraźniej on po prostu borykał się z licznymi kłopotami. Ale teraz skupił się na niej. Czuła na sobie jego badawczy wzrok, kiedy lekko przechylił głowę, a na zmysłowych ustach zaigrał mu szelmowski uśmieszek.

Najwyższy czas wrócić do poprzedniego nastroju, pomyślała, czując przyływ paniki.

- Co cię tak zmęczyło? - spytała. Uśmieszek znikł z jego twarzy.

- Dwa lata temu ktoś umarł. Ta śmierć w jakimś stopniu zmieniła sposób, w jaki patrzyłem na swoje dokonania. Od tamtej pory chodziłem jak w kieracie. Ale nie będę cię zanudzał.

Nuda może być bezpieczniejsza, pomyślała Sophie, lecz milczała. Nie potrafiła zdusić w sobie narastającej fascynacji tym mężczyzną. Levi podpłynął bliżej. Jego oczy zdawały się ciemniejsze, wargi miał rozchylone, jak gdyby chciał coś wyszeptać albo...

- Przyznam, że dawno nie czułem się tak pełen wigoru - powiedział.

Sophie poczuła, że pokrywa się gęsią skórką. Chciała się odsunąć, lecz jej ramiona i nogi stały się nagle tak ciężkie, że nie mogła nimi ruszyć. Dźwięki dochodziły do niej z daleka, temperatura wody się podniosła.

- Może to ma coś wspólnego z faktem, że wczoraj omal nie zginęliśmy? - ciągnął.

- Może - odparła nieswoim głosem.

Levi zanurzył się aż po sam nos. Palmy rzucały cień na jego twarz.

- Jak to dobrze, że wciąż żyjemy.

Nadał policzki, dmuchnął na liść, który popłynął w jej stronę i trącił ją w policzek.

Zwykły liść, a Sophie serce zaczęło walić jak młotem. Ich oczy spotkały się. Poczowała się, jakby Levi owiał ją oddechem. Absurd. Przecież jest zanurzona w wodzie. Tylko że woda sprawiała wrażenie naładowanej cząsteczkami pożądania.

Sophie zwilżyła usta, by coś powiedzieć, lecz zanim znalazła właściwe słowa, Levi podpłynął bliżej, tak blisko, że zderzyli się nosami. Dwa liście na pustym stawie.

Levi cały czas hipnotyzował ją wzrokiem. Trwała nieporuszona, wpatrzona w jego oczy, w niebieskie tęczęwki i długie czarne rzęsy.

Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Powinna się cofnąć, lecz przyciągała ją do niego jakaś magnetyczna siła, nad którą nie potrafiła zapanować.

Kiedy jego wargi w końcu delikatnie musnęły jej wargi, Sophie zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Usta Leviego dotknęły jej policzka, potem szyi. Sophie zapragnęła przytulić się do niego, a nie uciekać.

Przywarł wargami do jej warg. Ten pocałunek wyzwolił w niej doznania, jakich nigdy nie doświadczyła, nawet z Bradem. Westchnęła, gdy dłonie Leviego zsunęły się po jej ramionach na plecy, talię, biodra. Nie wiedziała, kiedy jej palce wplotły się w jego włosy, a piersi przywarły do jego torsu. Zatraciła się w rozkoszy, lecz nagle poczuła, że Levi stara się uwolnić z jej uścisku.

Z przerażeniem otworzyła oczy i odskoczyła od niego, a on wyciągnął rękę i ją przytrzymał.

- W porządku, to tylko pocałunek. Jesteś bardzo piękna, wiesz? - dodał zmysłowym głosem i odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

Potem odpłynął, zostawiając ją z uczuciem pustki i niespełnienia. Stopniowo zaczęły do niej docierać rozmaite odgłosy, szum wiatru w liściach, śpiew ptaków, bicie własnego serca.

Levi zaś zdał sobie sprawę, że z trudem zmusił się do odsunięcia się od Sophie. Jest bardzo piękna. Pragnął jej. Co on, do diabła, wyprawia, pytał się w duchu. Przecież ten związek nie ma przyszłości. On złamie serce jej, a może również i sobie.

Dobrze, że woda w stawie jest taka chłodna, myślał, starając się zapanować nad reakcją ciała. Omal się nie zapomniał i nie zatracił w tej chwili rozkoszy. Obojgu im to zresztą groziło. Jeszcze minuta, a przekroczyliby granicę, zza której nie ma powrotu. Lecz Sophie była zbyt niewinna i ufna, by zdać sobie z tego sprawę.

Daleko mu do rycerskości.

Chyba zupełnie zgłupiałem, wyrzucał sobie. Podałem się erotycznej fantazji o igraszkach nimfy z satyrem. Świetny sposób podziękowania kobiecie, która stara się nas wszystkich uratować. Ale wyglądała tak kusząco, że nie mógł się jej oprzeć. Gdyby miał być ze sobą całkiem szczery, musiałby przyznać, że chciał ją pocałować już tamtego wieczoru w Xanadu. I nie tylko pocałować. Przed chwilą był bardzo blisko spełnienia swych pragnień. Gdyby to zrobił, ona znienawidziłaby go za to. I on siebie również.

Ciszę, jaka zaległa, przerywało tylko ćwierkanie pary papużek. Levi obrócił się na plecy i unosił na wodzie, Sophie zaś, ostrożnie stawiając stopy, by się nie poranić o ostre kamienie, wyszła na brzeg.

Ręce jej drżały, kiedy wycierała się szortami. Nogi miała jak z waty. Wciąż oszołomiona tym jednym pocałunkiem? Pieszczotą warg przewyższającą całe jej dotychczasowe doświadczenie?

Wstrętny Brad był sprawnym kochankiem, lecz, teraz dopiero to wiedziała, pozbawionym wyobraźni. Nie jak Levi, który jest powściągliwy, finezyjny i olśniewający.

Uświadomiła sobie, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Gdzie przebiega granica pomiędzy zauroczeniem a zakochaniem? Wiedziała, ile bólu mogłoby jej to przysporzyć.

Wilgotna bluzka kleiła się do mokrego biustonosza. Czowała się strasznie tym skępowana, chociaż wiedziała, że gdy tylko wyjdą na odkryty teren, materiał natychmiast wyschnie. Odwróciła się w stronę, skąd przyszli, starała się oddychać wolno i równomiernie, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Potrafiła to zrobić.

Za sobą usłyszała plusk, potem zduszone przekleństwo, kiedy Levi, wychodząc z wody, stanął na kanciastym kamieniu. Dobrze mu tak. Przystanie myśleć o całowaniu.

Sophie sięgnęła do torby i wyjęła czekoladowy batonik, miękki od upału. Zaczęła go ssać i zastanawiać się nad tym, co będzie z nimi dalej. Przejdą przez następną równinę i może przed zmrokiem znajdą obozowisko tubylców. A jeśli nie? Ogarnęło ją przerażenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przed drugą wyruszyli w dalszą drogę. Przed nimi rozciągała się pustynna równina, gdzie tylko mrowiska i skarłowaciałe drzewa dawały odrobinę cienia. Nie rozmawiali o tym, co się stało w oazie.

Levi wyczuwał, że napięcie między nimi wzrosło. Powietrze drżało nie tylko od upału, lecz także od erotycznych fluidów. I to on był temu winny, że Sophie była przygnębiona. Żałował, że uległ pokusie i ją pocałował, lecz nie żałował samego pocałunku.

W tamtej magicznej chwili to musiało się stać. Niemniej jego głupi brak samokontroli spowodował, że teraz Sophie jest zdenerwowana. Musi znaleźć jakiś sposób na rozładowanie ciężkiej atmosfery.

- Co to za ogromne mrowiska? - zagadnął.

Sophie aż podskoczyła, kiedy się odezwał. Przykro mu się zrobiło, że ją przestraszył. Kolejny raz pomyślał, że chciałby dostać w swoje ręce tego typu, który doprowadził ją do takiego stanu.

- To nie mrowiska, a termitiery - wyjaśniła. Aha, termity.

Levi spojrzał ponownie na kopce.

Były wszędzie dookoła, od całkiem małych do ogromnych, wyższych od człowieka. To wszystko było znacznie ciekawsze, niż się spodziewał.

- Opowiedz mi o nich - poprosił.

Sophie przystanąła, wzięła się pod boki i spytała:

- Dlaczego sądzisz, że wiem coś o termitach? Spodobała mu się jej poza.

- Bo ty wszystko wiesz.

- Bierzesz mnie pod włos?

- Skądże! - wzbraniał się. - Czyli nie wiesz?

Sophie ciężko westchnęła.

- Termity są ślepe - zaczęła.

Levi widział, jak mówiąc, odprężyła się, zapala. Nastrój od razu i jemu się poprawił. Dobre zagranie, pochwalił się w duchu. Zauważył, że Sophie lubi dzielić się wiedzą o świecie, który zna od dziecka. Tam, skąd on pochodził, ludzie nie traktowali swojego otoczenia z taką pasją. Niczego nie traktowali z pasją. Żyli z dnia na dzień, pracowali po dwanaście godzin na dobę. Od dwóch lat on też tak się zachowywał.

- Mają białawe pancerzyki, a robotnicy żyją nawet trzydzieści lat. - Spojrzała na niego, uśmiechnęła się nieśmiało i dodała: - Królowa natomiast aż osiemdziesiąt.

Ma ładny uśmiech, pomyślał.

- Zgadza się. Faceci odwalają całą ciężką robotę - zażartował. Wskazał wyjątkowo wysoki kopiec i spytał: - Z czego one są ulepione?

Sophie przewróciła oczami.

- Z odchodów zmieszanych ze śliną i z błota. Przyrastają w tempie około trzydziestu centymetrów na dziesięć lat. - Wskazała zniszczony kopiec i ciągnęła: - Od razu widać, który jest opuszczony, bo uszkodzenia zawsze są bardzo szybko naprawiane.

Levi aż gwizdnął z wrażenia i poklepał kopiec wysoki na ponad metr osiemdziesiąt, który właśnie mijali.

- Musi być wiekowy - odezwał się z podziwem.

Sophie przystanęła i powiodła wzrokiem dookoła.

- Świadek historii Kimberley. Cały ten obszar powstał w wyniku erozji gór Króla Leopolda miliony lat temu. To dlatego ziemia tu jest taka skalista.

I dlatego tak mało tu roślinności, domyślił się.

- Niewielu zbiegów zapuszczało się na te tereny, prawda?

- Tak. Niewielu zbiegów, nie bardzo było kogo złupić, ale opowiadają o pewnym uciekinierze, który zabił policjanta, a ciało ukrył wewnątrz kopca.

Ta kobieta jest kopalnią przerażających informacji.

- Nawet mi nie opowiadaj. Termyty zreperowały kopiec i nieboszczyka nigdy nie odnaleziono, tak?

- Zgadłeś.

Mimowolnie się uśmiechnął. Dzięki Sophie ciągle się uśmiechał. Mimo niewesołego położenia, w jakim się znaleźli.

- Lepiej nie będę ci się narażał. Wyszczrzyła zęby.

- Bo ciebie też nie znajdą.

Dzięki rozmowie o termitach Sophie udało się nabrać dystansu do zdarzenia w oazie, lecz wciąż czuła się zażenowana tym, że pozwoliła się pocałować. W jej głowie kłębiły się pytania, nad którymi nie mogła się teraz porządnie zastanowić. Musi się skoncentrować na odnalezieniu bezpiecznej drogi do domu. To teraz sprawa życia lub śmierci. Dosłownie.

Miała coraz więcej obaw o powodzenie ich wyprawy. Gdy wczesnym rankiem wyruszali, była przekonana, że do południa znajdą obozowisko, lecz teraz w butelce z wodą pokazało się dno, a chęć do rozmowy wyparowała jak pot z powierzchni ich skóry.

Westchnęła ciężko. Levi dotknął jej ramienia i spytał:

- O co chodzi?

Sophie mimowolnie nakryła jego dłoń, szukając wsparcia.

- Idziemy dłużej, niż się spodziewałam.

Levi obrócił ją ku sobie, objął i przytulił, zasłaniając ją własnym ciałem przed palącym słońcem. Oparła mu czoło na piersi. Był to zupełnie inny uścisk niż ten, o którym tak usilnie chciała zapomnieć.

- Znajdziemy ich - odrzekł. - Jak nie dziś, to jutro. Jeśli nie, zawsze możemy wrócić do Odette i Smileya.

Moga? Właściwie dlaczego nie? Czuła, jak wracają jej siły, jak pewność Lewiego, że im się uda, udziela się i jej. Pewnie to nedorzeczny optymizm, uznała, ale nie powiedziała tego głośno.

Zaburczało jej w żołądku.

- Nie wiem, jak ty, ale ja jestem głodna - mruknęła. Levi czubkiem buta uderzył w ziemię.

- Możemy poszukać larw. Dziesięć dni wystarczy, prawda?

Roześmiała się, chociaż powinna raczej płakać. Ale czuła się już lepiej. Levi odsunął się od niej i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął batonik czekoladowy i jej podał:

- Trzymałem go dla ciebie. Sophie potrząsnęła odmownie głową.

- Nie zjem twojego batonu - oświadczyła.

- Zjesz. - Wskazał wzgórze przed nimi. - Tam się zatrzymamy i powalczymy o niego, co? - Poklepał ją po głowie, zdjął jej plecak, potem wziął ją za rękę i zarządził: - Idziemy.

Trzymając się za ręce, ruszyli ku wzgórzom.

Sophie nie wiedziała, kiedy to się stało, ale nagle zaczęła ufać Leviemu. Oddała mu swój plecak! Zachowała się zupełnie jak nie ona. Nie potrafiła tego zrozumieć. Jak mogła, szczególnie po tym pocałunku? A może postąpiła tak właśnie z powodu tego pocałunku?

Byli już bardzo blisko wzgórz, kiedy nagle wyrósł przed nimi starszy mężczyzna z pomarszczoną skórą i długimi siwymi włosami. Levi dostrzegł go pierwszy.

Aborygen miał ze sobą długą włócznię i nic poza tym.

Levi zatrzymał się, lecz Sophie szła dalej.

- Chce, żebyśmy poszli za nim - rzekła. Levi spojrzał na nią kątem oka i mruknął:

- Obyś miała rację.

Sophie odetchnęła z ulgą. Udało się.

Mężczyzna zaprowadził ich do wąwozu i stawu, z którego mogli zaczerpnąć wody. Nie odzywał się, a Sophie z rozbawieniem przyglądała się Leviemu, kiedy na migi próbował opowiedzieć historię rozbicia się ich helikoptera.

- Może narysuj to na piasku? - zasugerowała i wręczyła mu patyk.

Rysunek Leviego pozostawiał wiele do życzenia, lecz szeroki uśmiech na twarzy Aborygena świadczył o tym, że coś niecoś do niego dotarło. Potem Levi narysował cztery postacie, pokazał na siebie i na Sophie na znak, że przy wraku zostały jeszcze dwie osoby.

Aborygen z poważną miną pokiwał głową. Wzniósł rękę do słońca i zatoczył łuk na niebie aż nad sam horyzont, potem żywo gestykułując, kazał im iść za sobą. Sophie domyśliła się, że przed zachodem będą mogli wracać.

Nie wiedziała, czy jej się tylko tak wydaje, czy marsz teraz naprawdę był mniej męczący? Szli w cieniu i szybko pokonali znaczny dystans.

Na godzinę przed zachodem słońca dotarli do obozowiska złożonego z mniej więcej pół tuzina lichych chat, wokół których kręciło się kilkoro brązowookich, brązowoskórych dzieciaków.

W obozie panowała niespotykana cisza. Grupka kobiet skupiła się wokół jednej z chat na krańcu obozowiska. Sophie poczuła gęsią skórę. Coś tu jest nie tak. Zerknęła na Leviego, który uniósł brwi w niemym pytaniu. On również wyczuł atmosferę pełną napięcia.

Najstarsza z kobiet wyciągnęła rękę do Sophie. Sophie nieśmiało podeszła bliżej. Pilnowała się, by nie patrzeć Aborygencie prosto w oczy. Kobieta ruchem głowy wskazała wewnątrz chaty i rzekła:

- Jesteś pielęgniarką, tak?

Pod Sophie ugięły się kolana. Obejrzała się na Leviego. Bóg raczy wiedzieć, co się tam dzieje, pomyślała. Levi podszedł i spytał:

- Chcesz, żebym ci towarzyszył? Sophie westchnęła.

- Miło, że proponujesz, ale to niemożliwe. Wygląda na to, że to babskie sprawy.

Sophie pochyliła się i z duszą na ramieniu weszła do chaty. Nad posłaniem z wyschniętej trawy, na którym leżała młoda dziewczyna, pochylała się gromadka kobiet. Dziewczyna sprawiała wrażenie przestraszonego zwierzątka. Rodziła.

- O Boże! - Sophie mruknęła pod nosem na widok niemowlęcej stopy pomiędzy udami rodzącej. Poród pośladowy, a właściwie przodowanie stępkowe. To znaczy, że dziecko rodzi się nóżkami do przodu, a główka wyjdzie na końcu. O ile nie będzie powikłań. - Wszystko będzie dobrze - odezwała się na głos, chcąc sobie samej dodać odwagi.

Oczywiście gdyby wystąpiły komplikacje, dobrze by było móc zrobić cesarskie cięcie, ale taka opcja nie była możliwa. Sophie mogła tylko powtarzać jak mantrę zasadę wpojona jej podczas szkolenia: przy porodzie pośladowym ręce przy sobie.

Zobaczyła, że stopka się porusza. Dziecko żyje. Wszystko zaczęło wyglądać bardziej optymistycznie.

Teraz nie była odpowiednia pora pytać, dlaczego wobec zbliżającego się porodu dziewczyny nie odprowadzono do szpitala. Sophie wiedziała, że czasami strach przed znalezieniem się daleko od rodziny sprawia, że młode kobiety ukrywają ciążę, by ich nie rozdzielono z bliskimi. Wiedziała również, że później starszyzna rodowa bardzo się na takie kobiety gniewa.

Uklękła, próbowała się uśmiechnąć, potem przyłożyła dłoń do piersi i powiedziała:

- Sophie.

Jedna z kobiet wskazała rodzącą.

- Pearl.

- Jak się masz, Pearl - Sophie zwróciła się do dziewczyny.

Pearl odwróciła głowę i z przerażeniem w oczach spojrzała na ciotki i kuzynki, szukając u nich pomocy.

Sophie na migi spytała kobietę, która ją tutaj sprowadziła, chyba babkę Pearl, czy może zbadać rodzącą. Starsza kobieta zrobiła ponaglący ruch ręką.

Dziecko było małe, chyba wcześniak, chociaż jego ułożenie utrudniało ocenę. Sophie pomyślała, że chciałaby się dowiedzieć, jak długo trwa poród.

Przy kolejnym skurczu Pearl wykrzywiła twarz i jęknęła z bólu. Mała nóżka wysunęła się o następny centymetr.

Sophie nie miała słuchawek, nie mogła więc sprawdzić bicia serca dziecka. Nie miała rękawiczek, nawet nie mogła umyć rąk. I nie mogła zostawić Pearl samej. W tej chwili jedyne, co mogła zrobić, to czekać. I się modlić.

Levi, który mógłby ją wspierać, nie został wpuszczony do chaty z powodów kulturowych. Porody to babska sprawa i mężczyznom nic do tego, chociaż gdyby się okazało, że z dzieckiem, jak już się urodzi, są jakieś problemy, Sophie nie zawahałaby się wezwać go na pomoc.

Sama świadomość, że Levi jest w pobliżu, dodawała jej pewności siebie. Liczyła na jego umiejętności w udzielaniu pierwszej pomocy i zdrowy rozsądek.

Podejrzała, że nawet gdyby istniał jakiś sposób zawiadomienia pogotowia lotniczego, samolot dotarłby do obozu po czasie. Cała odpowiedzialność spoczywa więc na niej. A mnie się wydawało, że mam wakacje, pomyślała. Teraz mogła tylko usiąść wygodniej na klepisku i nie myśleć o strużce potu spływającej jej po plecach.

Oblizwała wargi. Gardło miała zupełnie wyschnięte. Przydałby się łyk wody.

Zaczęła się modlić, żeby szybko nastąpiła druga faza porodu, lecz nic nie mogła zrobić. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby zaczepić oko. Zobaczyła brązowy szal. Przyda się do wytarcia dziecka, kiedy się urodzi, pomyślała. Tak, to jest pozytywna myśl. Kiedy się urodzi.

Kobiety patrzyły na nią takim wzrokiem, jak gdyby miały do niej pretensję, że siedzi beczynnie, lecz ona nie zwracała na nie uwagi.

Starła się odpędzać od siebie natrętnie powracające myśli o lekach, tlenie, neonatologu. Pełna abstrakcja. Miała nadzieję, że dziecko jest dobrze rozwinięte i że poród nie nastąpił przedwcześnie.

Jeśli młoda matka nie była objęta opieką lekarską w czasie ciąży, najprawdopodobniej ma anemię, co zwiększa niebezpieczeństwo krwotoku po porodzie, a utrata krwi oznacza spadek liczby czerwonych ciałek w organizmie.

Ale na to też nic nie mogła poradzić. Mogła masować brzuch Pearl, aby pobudzić obkurczanie się macicy, kiedy już wydali łożysko, mogła położyć jej nowo narodzone dziecko przy piersi, żeby spowodować wydzielanie hormonów odpowiedzialnych za ten sam proces.

Od tysięcy lat kobiety rodziły w podobnych obozowiskach, powtarzała sobie w duchu. Dopiero dwudziestowieczna medycyna zadekretowała, że bezpieczniejsze są porody w szpitalu. Problem polegał jednak na tym, że przez ostatnie sto lat starsze kobiety zapomniały wiele ze swoich akuszerskich umiejętności.

Zmusz się do pozytywnego myślenia, poszukaj jasnych stron w tej sytuacji, powtarzała sobie. Na przykład, jest taki upał, że dziecko się nie wychłodzi, co się często zdarza przy poro-
dach pośladkowych, ponieważ dużo czasu mija, zanim główka przejdzie przez kanał rodny.

Pearl znowu jęknęła z bólu. Teraz ukazała się kostka i nóżka prawie do kolana i zaraz po-
tem druga stopa.

- Świetnie ci idzie, Pearl - pochwaliła Sophie i pokiwała głową przerażonej dziewczynie i jej nie mniej przerażonym krewnym, chcąc dodać im otuchy.

Gdyby Pearl usiadła, łatwiej by jej było przeć, a siła ciężenia ułatwiłaby dziecku przej-
ście przez kanał rodny. Sophie na migi pokazała babce Pearl, o co chodzi, i wspólnie podtrzy-
mały dziewczynę.

Pomogło. Akcja porodowa przyspieszyła. Kiedy pokazała się moszna, kobiety głośno wyraziły radość z narodzin nowego męskiego potomka. Zaczęły też ponaglać Sophie, by chy-
ciła dziecko i je wyciągnęła, lecz Sophie potrząsnęła odmownie głową.

W tym momencie zasada, by trzymać ręce przy sobie, odgrywała najważniejszą rolę. Sophie wiedziała, że naturalne wygięcie kanału rodnego zmusza dziecko, by docisnęło podbró-
dek do piersi i trzymało rączki przy bokach. Gdyby zaczęła ciągnąć, rączki zostałyby w górze i doszłoby do nowych komplikacji.

- Nie - odezwała się. - Dziecko wie samo.

Przy następnym skurczu pokazały się pośladki, plecy i pępowina. Sophie oparła się po-
kusie sprawdzenia tętna noworodka. Im mniej interwencji, tym lepiej. Babka Pearl zaczęła ją
ciągnąć za włosy i pokazywać sine dziecko, lecz Sophie była nieugięta.

- Zaraz - powtarzała. - Zaraz będzie po wszystkim.

Spróbowała odmówić jeszcze jedną modlitwę. Czekwała, aż pokaże się klatka piersiowa,
jedno ramię, po nim drugie. Serce jej waliło mocno, lecz zachowała kamienny spokój. Teraz
najtrudniejsze zadanie. Sophie położyła jedną dłoń na karku chłopczyka, a drugą pod policz-
kami, by zapobiec zbyt gwałtownemu wypadnięciu. Udało się. Owinęła noworodka szalem i
zaczęła wycierać, aż złapał oddech. Potem położyła synka na brzuchu mamy. Chłopczyk zapła-
kał, a Sophie miała ochotę zrobić to samo. Lecz nie miała czasu rozczulać się nad sobą. Ramie-

niem otarła pot z czoła. Pokazała babce miejsce, w którym ma zawiązać pępowinę i przeciąć. Ręce jej się trzęsły, ale jej rola jeszcze nie była skończona. Kiedy wyszło łożysko i trysnęła jasna krew, spojrzała na Pearl i wyjaśniła:

- Muszę wymasować ci brzuch.

Szturchnęła babkę i pokazała, jak masaż przyspiesza obkurczanie macicy. Babka kiwnęła głową i dłonią nakryła dłoń Sophie.

Jedna z ciotek przyłożyła dziecko do piersi Pearl. Chłopczyk zakwilił i zaczął ssać. Sophie odetchnęła głęboko. Nie była już potrzebna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leviemu wydawało mu się, że minęły godziny, odkąd Sophie zniknęła z kobietami. Przechadzał się tam i powrotem w cieniu drzewa, nie odrywając oczu od wejścia do chaty.

Dla zabicia czasu usiłował porozumieć się na migi z dziećmi i jednocześnie ocenić ich stan zdrowia, a w końcu udało mu się nawiązać jaki taki kontakt z jedynym starszym mężczyzną, który był bardziej rozmowny. Kilkakrotnie podchodził do strumienia, lecz kiedy pił, myślał o tym, jak bardzo Sophie musi być spragniona.

Napełnił jej butelki, by mogła się napić, jak tylko wyjdzie, i zmoczył kawałek materiału, by mogła się obmyć.

Wyrzucał sobie, że powinien ujawnić, że jest lekarzem, albo przynajmniej spytać, w czym może pomóc. W miarę jak nieobecność Sophie się przedłużała, Leviego dręczyły coraz silniejsze wyrzuty sumienia.

Nie miał wielkiego doświadczenia w położnictwie, lecz doskonale wiedział, że w krytycznych sytuacjach dobrze jest mieć przy sobie kogoś, z kim można wymienić uwagi. Co dwie głowy to nie jedna.

Jako lekarz wybrał specjalizację, w której działał w pojedynkę, w której sukces zależał od sprawności manualnych. Decyzję podjął, kiedy starszy brat stracił wzrok. Na swoim polu odnosił spore sukcesy, lecz ostatnie dwa lata były ciężkie. Po śmierci Darli harował bez przerwy i, jak teraz to sobie uświadamiał, omal się nie wypalił. Dopiero przy Sophie przypomniał sobie, co to znaczy się śmiać.

A może wypadek helikoptera, z którego ledwo uszli z życiem, podziałał na niego tak pobudzająco?

To jednak nie zmniejszało poczucia winy wobec Sophie. W jego życiu było kilka kobiet, pojawiały się i odchodziły, ale wobec żadnej nie czuł się aż tak nie w porządku, jak wobec niej. Sophie to istny gejzer pozytywnej energii.

Kiedy Sophie w końcu wyszła z chaty, Leviemu kamień spadł z serca. Obserwował, jak bierze głęboki oddech. Podziwiał jej zdolność regeneracji świadcząca o sile charakteru.

Z wnętrza chaty dobiegał płacz noworodka. Ta kobieta nie przestawała go zadziwiać.

Przez jedno mgnienie wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega błysk radości na swój widok, co tylko spotęgowało jego wyrzuty sumienia.

Sophie miała ochotę rzucić mu się na szyję i w jego ramionach szukać pocieszenia. Ale musiała się umyć i napić i nie myśleć o wszystkich rzeczach, które mogły się nie udać, ale się udały.

- Sophie? - Levi wziął ją pod ramię, podprowadził pod drzewo, usadził w cieniu i podał jej butelkę z wodą. Sophie zamknęła oczy i wypła duży łyk. - Jeszcze jeden cud na twoim koncie?

Otworzyła oczy, powiodła wzrokiem po otaczającej ich równinie i westchnęła.

- Poród pośladowki. Wszyscy mieliśmy niebywałe szczęście.

Dopiero teraz ogarnęło ją śmiertelne zmęczenie. Oparła się ciężko o pień drzewa.

- Przyniosę ci więcej wody - zaofiarował się Levi. - Tymczasem obmyj się tym - podał jej mokrą szmatę - a jak odzyskasz trochę sił, pójdziesz się umyć w strumieniu.

Oderwał rękawy od koszuli i zmoczył! No, no. Zaskoczył ją. Kiedy jej je podał, miała ochotę go wyściskać, a nawet, co za szalony pomysł, pogłodzić pięknie wyrzeźbione mięśnie. Było coś w tych nagich ramionach, co ją podniecało, chociaż dotychczas nigdy tego nie zauważyła. Może chodziło tylko o ramiona mężczyzn, którzy dawali jej to, czego w danej chwili bardzo potrzebowała?

Jej zafascynowanie musiało odbić się na twarzy, bo Levi uśmiechnął się do niej półgębkiem i rzekł:

- Właśnie wracam ze sklepu. Masz ochotę na śliwkę kakadu?

Mimowolnie zachichotała. Pewnie to objaw hysterii, pomyślała zaskoczona własną reakcją, rozładowanie napięcia, lecz jej nastrój zdecydowanie się poprawił.

Miło jej się zrobiło, że Levi troszczy się o nią. Wytarła ręce, potem czystym rogiem wilgotnego rękawa twarz. To lepsze niż setka maseczek, jakie ten kanalia Brad mi fundował, pomyślała.

Zaczynała darzyć Leviego coraz większą sympatią, jednak nie miała zamiaru tracić dla niego głowy. Musi mieć się na baczności, chociaż będzie jej bardzo trudno. Przy nim czuła się pełna werwy. Wyjątkowa. Mogła na niego liczyć. Schować się w jego silnych ramionach, kiedy potrzebowała. Nie, nie zakochała się w nim. Nie ma mowy! Ale dobrze, że jest tu ze mną, pomyslała.

- Widzę, że coraz lepiej dajesz sobie radę w buszu - zauważyła.

Nie odpowiedział, tylko skrzywił się, a jej dobry nastrój prysł. Levi spojrzał w bok, potarł kark i rzekł:

- Mam ci coś do powiedzenia.

Sophie poczuła ucisk w żołądku. Zastanawiała się, ile złych wiadomości człowiek może znieść jednego dnia.

- Niech to będzie coś pozytywnego. Proszę!

- Wydaje mi się, że nasz tropiciel z włócznią wracał skądś, skąd wzywał pogotowie lotnicze dla tej rodzącej dziewczyny. Kiedy przylecą, skorzystamy z ich radia.

- Fantastycznie!

Cała ta potworna przygoda nareszcie się skończy. W nie najdalszej przyszłości dotrze do domu, weźmie prysznic, napije się herbaty i może razem z Levim, i z Odette i Smileyem, poprawiła się szybko, zjedzą na kolację stek, o jakim marzy. Nie, nie chce słyszeć żadnych złych wiadomości.

Bose ciemnoskóre dzieci, chichocząc, zbiły się w gromadkę i rzucały w ich stronę nieśmiałe spojrzenia.

- Zaprzyjaźniłeś się z nimi, kiedy mnie nie było? - spytała.

Levi zrobił do dzieciaków śmieszoną minę nagrodzoną nowymi chichotami.

- Na to wygląda - mruknął.

Czyli potrafi dogadać się z dziećmi. Ciepło jej się zrobiło koło serca. Levi naprawdę posiada cechy, jakie ona w ludziach ceni, i tym się różni od Brada. Unikała porównywania ich ze sobą, chociaż zawsze wypadało na korzyść Leviego. Nie, nie, jeszcze za wcześnie myśleć o przyszłości, upomniała się.

Znowu spojrzała na wesołą gromadkę. Dzieci były szczupłe, lecz pełne energii.

- Ciekawe, czy dostały wszystkie szczepienia?

- Chyba tak - odparł Levi. - Pytałem. Poza tym wyglądają na zdrowe.

Pytał? Dlaczego? Bo wspomniałam, że chcę się tego dowiedzieć? Znowu ciepło jej się zrobiło koło serca. Uśmiechnęła się do Leviego.

- Nie traciłeś czasu. Znalazłeś kogoś, na kogo powinnam rzucić fachowym okiem?

Levi zawahał się.

- Jest tu pewien starszy mężczyzna z kataraktą. Dobrze by było go zoperować.

Sophie rozejrzała się po obozowisku. Chaty, czerwona wyschnięta ziemia, dwa drzewa rzucające cień i strumień.

- Starszych ludzi trudno namówić do opuszczenia domu, żeby naprawić coś, z czym przywykli żyć.

Levi potrząsnął głową.

- On jest prawie ślepy. Operacja przyniosłaby stuprocentową poprawę.

- Wiem - przyznała Sophie. - Ale musiałby mieć pieniądze.

- Jakie pieniądze? - zdziwił się Levi. - W publicznych szpitalach taka operacja nic nie kosztuje.

Sophie wzruszyła ramionami. Słuchała Leviego jednym uchem, starając się odprężyć i odpocząć. Przyglądała się dzieciom. Popijała wodę. Oddychała z ulgą. Dziecko urodziło się zdrowe. Nie popełniła żadnego błędu. Pogotowie lotnicze zajmie się matką i noworodkiem. Może się zrelaksować.

- Musiałby dojechać do szpitala, żyć z dala od rodziny. A dla tych ludzi sama myśl o operacji jest przerażająca.

- Ale to właściwie zabieg, nie operacja - Levi nie dawał za wygraną.

Dlaczego on się tak upiera? Sophie przestała przyglądać się dzieciom i skoncentrowała całą uwagę na Levim. Zaraz, zaraz. Zaczęło w niej kiełkować podejrzenie, że coś jej umknęło. Że była ślepa na fakty. Bardziej ślepa od starego mężczyzny z kataraktą. I głupia.

- Masz duże doświadczenie w diagnozowaniu zaćmy? - spytała podejrzliwie.

Levi spojrzał jej prosto w oczy. Od razu wiedziała. Czerwona ziemia usunęła jej się spod nóg. Poczowała, że palą ją policzki, nie tyle z gniewu, co ze wstydu.

- Można tak powiedzieć - wybąkał.

Sophie zmrużyła powieki i spojrzała mu prosto w twarz. Ta sama mina co przy ich pierwszym spotkaniu. Kłamca. Nagle wszystkie elementy łamigłówek ułożyły się w jej umyśle w całość, luźne uwagi, porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymieniał z Odette, wprawa w udzielaniu pierwszej pomocy.

- Wspomniałeś coś o własnej firmie - zaczęła, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie.

- Nic takiego nie mówiłem - zaprzeczył.

- Nie szkodzi. - Sophie nie dała się zbić z pantafelku. - W jakiej branży działasz?

- Jestem oftalmologiem. Specjalizuję się w mikrochirurgii. W Sydney mam własną, dobrze prosperującą klinikę

- Czyli jesteś lekarzem, tak? Mówiłeś o kursie pierwszej pomocy, tak? Znowu kłamałeś - zarzuciła mu.

- Nie kłamałem.

On również mówił opanowanym głosem.

- Ale nie zaprzeczyłeś. - Bolało ją, że ponownie została oszukana. - Kłamstwo przez zatajenie.

- To była ta zła wiadomość.

Czego on chce? Żeby go pogłaskała po główce? A już zaczynała go lubić. Może nawet więcej niż lubić. Boże, błagam, tylko nie to, myślała, strzeż mnie przed zakochaniem się w nim. Jest lekarzem. Zamożnym człowiekiem. I kłamcą. Zupełnie jak Brad, który złamał mi serce, który odebrał mi coś drogiego, coś nieskalanego i podeptał.

Przecież to on mógł nastawić bark Smileyowi. Wydawała Leviemu polecenia, bo uważała, że jest jedyną osobą posiadającą jakieś kwalifikacje medyczne. Dopiero teraz mi mówi, że jest lekarzem! Nawet mikrochirurg zaczyna od medycyny ogólnej.

Łzy zaczęły jej ciężać pod powiekami. Zamrugnęła, by je odpędzić, zacisnęła zęby. Nie doczekanie, nie rozplacze się przy nim.

- Staram się znaleźć powód, dlaczego mi nie pomogłeś - rzekła. - Chciałeś sprawdzić, ile zniosę, zanim się załamie?

Levi potrząsnął głową i wyciągnął do Sophie rękę. Z obrzydzeniem spojrzała na jego dłoń, jak gdyby była pokryta czymś śliskim i paskudnym. Musiał to zauważyć, bo cofnął rękę.

- Posłuchaj, Sophie, jestem pełen podziwu dla ciebie. - Przeczesał palcami włosy i mówił dalej: - Moja pomoc nie była ci potrzebna.

Akurat! Jak on śmie? Sophie miała tego wszystkiego dosyć. Podniosła się z trudem i zaczęła schodzić ze wzgórza w kierunku strumienia.

Zimna woda ją otrzeźwiła. Była taka bliska zakochania się w mężczyźnie, który by ją zniszczył, myślała. Ponownie. A minęło zaledwie kilka dni od pierwszego rozczarowania. Czy nie potrafi uczyć się na własnych błędach?

Umyła twarz.

Niech go wszyscy diabli!

Powoli dochodziła do siebie. Ręce przestały jej się trząść, łyzy wyschły. Głowa ją rozboleła ze zmęczenia. Zmusiła się do powrotu do obozowiska, lecz przeszła obok Leviego, nawet na niego nie patrząc, i udała się prosto do chaty sprawdzić, jak się mają Pearl i jej synek.

Kiedy stamtąd wyszła, zupełnie już odzyskała równowagę i otoczyła się murem nie do zdobycia, wyższym niż skały, o jakie omal się nie rozbili.

Z oddali słychać było warkot silnika, więc Sophie zadarła głowę, byle tylko nie widzieć Leviego.

Im szybciej samolot wyląduje, tym lepiej, myślała. Ze złości zapomniała, że boi się lata-
nia.

Pomyślała o Odette, nic niewiedzącej o tym, że pomoc nadchodzi. Kiedy tylko znajdzie się w kompetentnych rękach, ona będzie zwolniona z odpowiedzialności i odczuje niewysłowioną ulgę.

Levi z siostrą pojedą do siebie, ona ze Smileyem do siebie. Przy odrobinie szczęścia nigdy już się nie zobaczą. Będzie mogła zapomnieć o chwili słabości i głupoty.

Warkot samolotu stawał się coraz głośniejszy, cień skrzydeł zasłonił słońce. Pilot zrobił okrążenie, potem wylądował na przygotowanym przez mężczyzn z klanu lądowisku.

Samolotem przyleciało troje ludzi: lekarz, Jock McDonald, szkocki zawadiaka, który na widok Leviego i Sophie wysoko uniósł brwi, pielęgniarka, która energicznym krokiem podeszła do nich, i pilot, który pomachał im ręką, lecz pozostał za sterami.

- Macie pewnie do opowiedzenia ciekawą historię - Jock odezwał się do Sophie, którą znał. Potem pomachał do Leviego i rzucił: - Potem porozmawiamy, najpierw obowiązki.

Pielęgniarka skinęła na Sophie i razem z Jockiem poszły do chaty, w której zebrała się teraz spora gromada kobiet. Jock kazał wyjść wszystkim z wyjątkiem babki Pearl, potem zbadał dziewczynę i skarcił ją z tak silnym obcym akcentem, że na pewno nie zrozumiała, co do niej mówił. Na koniec poklepał ją po głowie i zabrał się do badania noworodka.

- Macie szczęście - mruknął - ale zabieram was oboje na jakieś dwa dni na obserwację do szpitala. Na wypadek gdyby były kłopoty z pokarmem - dodał.

Kiedy wyszli z chaty, zwrócił się do Sophie:

- Dobra robota. Powiedz, jak to się odbyło. Sophie czuła ogromne zmęczenie.

- Zgodnie z zasadą: przy porodzie pośladowym ręce przy sobie. W niecałą minutę po urodzeniu dziecko zaczęło samodzielnie oddychać. Mieliśmy szczęście w nieszczęściu, bo inaczej ci ludzie chyba utopiliby nas w potoku.

- Ale wszystko dobrze się skończyło, więc nie ma co dywagować, co by było, gdyby. Masz. - Jock wyciągnął z kieszeni żel antyseptyczny do rąk i podał go Sophie, która natychmiast wtarła go w dłonie. - A teraz powiedz, kim jest ten olbrzym i skąd się tutaj wzięliście - poprosił.

Sophie potrząsnęła głową. Nie czuła się na siłach opowiadać, co ich spotkało.

- On sam ci wszystko opowie - odparła i spytała: - Znajdzie się dla nas miejsce w waszym samolocie?

Jock rzucił okiem na maszynę i stwierdził:

- Tylko dla jednego z was. Ale zawiadomię bazę i wyślą drugi samolot. Musimy zabrać dziewczynę z noworodkiem, więc ty polecisz z nami i będziesz nad nimi czuwała.

Kwadrans później wystartowali. Sophie i lekarz opiekowali się Pearl i jej synkiem, a pielęgniarka zajęła miejsce obok pilota.

Levi porozumiał się przez radio z najbliższą bazą helikopterów. Natychmiast wysłali po niego śmigłowiec, a drugi po Odette i Smileya. Mieli zostać przetransportowani do szpitala w Kununurrze.

Nareszcie przestanę być za cokolwiek i kogokolwiek odpowiedzialna, pomyślała Sophie.

W Kununurrze wylądowali po godzinie, ale Sophie nie tam chciała się znaleźć. Tęskniła do domu, do własnych śmieci, do miejsca, gdzie mogła się schować przed światem, lizać rany i rozpamiętywać kolejny zawód. Musiała jednak czekać, aż jej brat opuści szpital.

Pielęgniarka z pogotowia lotniczego dała jej klucze do mieszkania i pożyczyła ubranie. Sophie spędziła chyba z godzinę w kąpieli, usiłując zmyć z ciała i włosów czerwony kurz.

Cały czas słyszała startujące i lądujące helikoptery na płycie po przeciwnej stronie ulicy. Którymś z nich przyleciał Levi. Żałowała, że nie udało jej się zachować czujności. Nie mogła uwierzyć, że popełniła ten sam błąd, że dała się zwieść gładkim słówkom i pieszczotom. Ale nigdy więcej. Przenigdy.

Levi nie spuszczał oczu z wejścia do szpitala. Przyglądał się każdej taksówce, ciężarówce, autobusowi, jakie podjeżdżały pod budynek, i wszystkim wysiadającym. Rodzinom, parom,

samotnym kobietom, lecz nigdzie nie widział kapelusza akubra i włosów związanych w koński ogon, przyprawiający go o szybsze bicie serca.

Zapadł zmrok, lecz dla niego ten dzień jeszcze się nie skończył. Na posterunku policji spędził godzinę. Z Perth miała przylecieć komisja do spraw wypadków lotniczych. Do ich przybycia nic nie można było zdziałać, lecz policja obiecała zachować czujność. Levi nie miał zamiaru ponownie narażać siostry na niebezpieczeństwo. Wynajął lekki samolot, który miał ich wszystkich zabrać do domu, oraz polecił personelowi w Xanadu zapalić światła na lądowisku. Ludzi w pobliskim miasteczku prosił, by zrobili to samo. Poza tym rozmawiał z Odette i Williamem. Żadne z nich nie widziało Sophie, lecz William rozmawiał z nią przez telefon.

Od dwóch godzin była już na ziemi. Sprawdził to. Niedługo powinna zjawić się w szpitalu.

Nadal nie wiedział, co jej powiedzieć. Od chwili, kiedy przyznał się, że jest lekarzem, nie odezwała się do niego ani słowem. Wsiadając do samolotu, nawet na niego nie spojrzała. Miał nadzieję, że do tej pory trochę ochłonęła i da mu szansę wszystko wyjaśnić, zanim razem z Odette wyjadą do Sydney.

Zegar w holu wskazał dziesięć po dziewiątej, kiedy przed szpital zajechała taksówka. Jest. Drobniejsza, niż ją zapamiętał, ubrana w długie spodnie, w których nie wyglądała tak zgrabnie jak w szortach. Na jego widok podrzuciła wysoko głowę, dając mu tym gestem do zrozumienia, co o nim myśli. Nie wróżyło to niczego dobrego. Gdyby chciał coś wyjaśnić, będzie mu trudno.

Może zasłużył sobie na to?

W tej chwili mieli inne rzeczy na głowie, lecz później postara się jej wszystko wytłumaczyć. Odette wyszła z całej tej przygody obronną ręką, lecz nie był pewny, czy Sophie również. A jeśli ucierpiała, to z jego powodu.

Zdjęła kapelusz i trzymała go w ręce jak tarczę. Mijając go, spuściła głowę. Ruszył za nią.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Sophie zacisnęła zęby. Wspaniale, pomyślała z sarkazmem. Ten facet jest z jakiejś innej bajki.

- Tak - burknęła, nie oglądając się na niego.

- Daj mi wytłumaczyć - prosił.

- Wolałabym nie. - Zatrzymała się. - Posłuchaj mnie, doktorze Jak-się-pan-nazywa. - Jego perfidia przechodziła ludzkie pojęcie! - Nawet mi się nie przedstawiłeś.

- Pearson.

Gdzieś już słyszała to nazwisko. Zaraz, zaraz. Pearson? Trudno, w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć. Może później. Zresztą, skąd ma pewność, że i tym razem nie kłamie? Levi przyglądał się jej.

- Nie sądzisz, że traktujesz mnie trochę zbyt szorstko, biorąc pod uwagę, przez co razem przeszliśmy?

- Mało mnie obchodzi, czy szorstko, czy nie - warknęła. - Jestem zmęczona i mam cię dość. Jeszcze przez godzinę muszę znosić twoje towarzystwo, ale nie muszę wysłuchiwać twoich wynurzeń. Będę zobowiązana, jeśli to uszanujesz.

Usiedli więc w poczekalni i milczeli. Sophie zaczęła przerzucać kolorowy magazyn, lecz z każdej reklamy wyglądała na nią twarz Leviego. To on prowadził luksusowy samochód, jadł w eleganckiej restauracji, tańczył z olśniewającą dziewczyną, prezentował szykowny garnitur.

Rzuciła pismo na stolik, odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Nie, nie straci głowy dla kolejnego bałamuta z dużego miasta. Nie!

W końcu doczekała się, że Odette i Smiley zostali wypisani. Odette uścisnęła Sophie, a brat położył jej dłoń na ramieniu i uścisnął.

- Dzięki, siostrze.

- Mieliśmy szczęście - wybąkała, wspięła się na palce i go pocałowała.

Wszyscy przeżyli, chociaż byli o włos od śmierci! Może dlatego łzy napłynęły jej teraz do oczu?

Sophie unikała wzroku Leviego, który cały czas usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Nagle zaczęła się zastanawiać, jak dostaną się do domu. Miała nadzieję, że nie helikopterem.

- Wynająłem dla nas samolot - odezwał się Levi, jak gdyby czytał w jej myślach.

Zerknęła na niego.

- Dzięki - wymamrotała, ale tylko na tyle potrafiła się zdobyć.

Ustalili, że Smiley poleci do Xanadu po samochód, a Sophie zostanie wysadzona po drodze, żeby mogła od razu wrócić do siebie.

Lot nie trwał długo i kiedy Sophie nareszcie zamknęła za sobą drzwi domu, ciężko westchnęła. Oparła czoło o twarde drewno pokryte szorstką popękaną farbą. Co ja najlepszego zrobiłam?

Po emocjach ostatnich dwóch dni nie mogła zasnąć.

Paradoksalnie najwięcej myślała o Levim i jego decyzji zatajenia przed nią, czym się zajmuje. Może wobec wszystkiego, co przeżyli, to było najmniej ważne, lecz ją paliło do żywego i nic na to nie mogła poradzić.

Postanowiła, że jedynym lekarstwem będzie zajęcie się pracą. Praca pozwoli jej zapomnieć o latającym helikopterami i wiodącym luksusowe życie rodzeństwie z Xanadu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy następnego dnia rano Sophie otworzyła drzwi i spojrzała na drugą stronę ulicy, na werandzie ambulatorium zobaczyła Leviego, jak gdyby nigdy nic stojącego w swobodnej pozie z łokciami opartymi o balustradę.

Z jednej strony Levi ubrany w designerskie džinsy, z połyskującym w słońcu roleksem na przegubie, z drugiej ona z ręką na ustach, żeby nie krzyknąć z wrażenia.

Mogłaby się cofnąć, lecz Levi zdążył już ją zobaczyć. Za późno. Psiakrew!

Drżącą ręką zatrzasnęła za sobą drzwi. Kiedy przechodziła przez werandę, zdawało jej się, że przekracza rzekę, w której roi się od krokodyli. Czego on od niej jeszcze chce? Zła była na siebie za to, że tak nerwowo reaguje na jego widok.

Zakurzona bita droga, zazwyczaj szeroka, wydawała się dzisiaj zadziwiająco wąska i stanowczo zbyt szybko Sophie znalazła się obok Leviego. Owionął ją zapach drogiej wody po goleniu, przypominając, że należą do zupełnie różnych światów.

- W czym mogę panu pomóc, doktorze? - odezwała się na powitanie.

Oczy mu się zwęziły.

- Nie nazywaj mnie doktorem i nie mów do mnie tak, jak gdybyś mnie nie знаła - rzekł cichym głosem.

Sophie zamrugnęła. Czyżby uciekł się do zasady, że najlepszą obroną jest atak? Dobrze, ona też potrafi atakować.

- Nie wiedziałam, że jeszcze tutaj jesteście.

- Widzę, że cię to martwi.

- Hm - mruknęła. Na ulicy nic się nie działo, więc musiała patrzeć na niego. - Nie obchodzi mnie to. - Wzruszyła ramionami. Tak trzymać, postanowiła. - Bez urazy - dodała. - Masz jakąś sprawę?

- Muszę czekać na komisję do spraw wypadków lotniczych. Wygląda na to, że ktoś specjalnie uszkodził helikopter. Policja prowadzi dochodzenie w tej sprawie. Uznałem, że powinienem cię zawiadomić.

Co? Mimo upału Sophie poczuła stróżkę zimnego potu ściekającą jej po szyi. Celowe uszkodzenie? Z ciężarną kobietą na pokładzie?

- Ale to straszne - wyrwało jej się. - Kto mógł coś takiego zrobić?

Przyszło jej teraz do głowy, że Levi od początku to podejrzewał, tylko nie podzielił się z nią domysłami.

- Podejrzenie pada na Steve'a. Zniknął.

Sophie potrząsnęła głową. Pomysł wydał jej się szalony.

- Steve? Już nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Levi nerwowym ruchem przeczesał włosy.

- To długa historia.

No tak, opowiadanie długich historii wymaga dużo czasu. Musiałby tu siedzieć w nieskończoność, a ona by tego nie zniosła.

- W porządku. - Nic na to nie mogła poradzić, że w jej głosie zabrzmiała nuta goryczy. Zmusiła się do wyciągnięcia ręki do Leviego i w duchu przygotowała na przyjęcie tej iskry elektrycznej, która przebiegała przez jej ciało, ilekroć jej dotykał. - Powodzenia.

Levi spojrzał na jej wyciągniętą rękę i nawet nie drgnął.

- Miałem nadzieję, że się rozstaniemy jak więcej niż przyjaciele - rzekł.

Sophie wzruszyła ramionami i cofnęła rękę. Nie chciała być dla niego więcej niż przyjaciółką. Pochodzili z różnych światów. Wyznawali różne systemy wartości.

- Nie wydaje mi się, aby to było możliwe - oświadczyła. - Więc kiedy wyjeżdżacie?

- Sprowadzenie komisji zabrało cały dzień. Wstępny raport będzie gotowy dziś późnym popołudniem. Wyjedziemy jutro. Usiłowałem wysłać Odette samą dzisiaj, ale odmówiła.

Nic dziwnego, szczególnie po tym, jak się dowiedziała, że ktoś usiłował ją zabić, pomyślała Sophie. W głowie jej się to nie mieściło.

- Wiele przeszła - powiedziała na głos. - Każdy bałby się podróżować samotnie, co dopiero kobieta w jej stanie.

Sophie bezwiednie zacisnęła dłonie schowane w kieszeniach w pięści. Serce biło jej mocno, czuła, że się poci. A Levi wciąż nie wyjawiał, dlaczego przyjechał.

Milczał teraz, jak gdyby czekał na pytanie z jej strony, a kiedy się nie doczekał, rzekł:

- Przynajmniej nie urodziła w buszu. - Szuka tematu, stwierdziła Sophie w myśli. Czyli jest tak samo skrepowany jak ja. - Tego się najbardziej obawiałem - ciągnął. - W ogóle nie powinna była ze mną przyjeżdżać, ale się uparła. Nie mogę uwierzyć, że jej tego nie zabroniłem.

Przecież jest pełnoletnia, Sophie chciała mu przypomnieć, ale uznała, że to nie jest jej sprawa. W końcu nie wytrzymała i spytała:

- Po co w ogóle przyjechałeś?

Levi zrobił krok do przodu, a Sophie zaczęła się natychmiast cofać, aż plecami oparła się o zamknięte drzwi ambulatorium. Podeszedł jednak, wsunął jej dłoń pod brodę i zmusił do spojrzenia na siebie.

Chciała mu się wyrwać, lecz pod wpływem jego dotyku siły ją opuściły. Jego dłoń była chłodna i mocna, wzrok hipnotyzował, jak wówczas nad rzeką, przy ich pierwszym spotkaniu. Kiedy to było? Zaledwie tydzień temu?

Wiedziała, że powinna odwrócić głowę, lecz nie potrafiła. Teraz już знаła jego oczy, koncentryczne niebieskie pierścienie tęczy, rzęsy ciemnobrązowe, nie czarne. Wspomnienie tamtych chwil, gdy czuła jego policzek przy swoim policzku, jego usta na swoich ustach, sprawiło, że się odprężyła, jak gdyby znowu ją całował.

Dlaczego musi mnie dotykać?

Tamten czas w ramionach Leviego należał do zupełnie innej rzeczywistości, do świata, do którego ona nigdy nie przywyknie, ale niestety pamięci o nim nie da się wymazać. Ile jeszcze dowodów potrzebuje, żeby przestać się oszukiwać? Co by było, gdyby Levi potrafił czytać w jej myślach? Cóż, wiedziałby, jak bardzo pragnie znowu znaleźć się w jego objęciach.

Odsuń się w bok, powtarzał wewnętrzny głos, zagłuszając słowa Leviego, ciało Sophie jednak nie słuchało rozkazu. Starła się skupić na tym, co Levi właśnie do niej mówił, i nie myśleć o doznaniach, jakie budził w niej jego wzrok i dotyk.

- Przykro mi, że zostałeś w to wplątana. Usiądźmy, porozmawiajmy, zanim odjadę - prosił.

Jej ciało nareszcie zareagowało na sygnały. Odwróciła głowę, podeszła do balustrady werandy i stanęła odwrócona do niego plecami. Nie może usiąść i z nim rozmawiać! Wykluczone.

- Chcesz się czegoś dowiedzieć na temat ciąży Odette? - spytała.

Levi podeszedł i stanął obok niej.

- To nie ma nic wspólnego z ciążą Odette - odparł i zdesperowany zerknął na nią kątem oka. - Chodzi o sposób, w jaki się rozstaliśmy po wspólnych dramatycznych przeżyciach i o to, że mi przykro, że cię zraniłem.

Muszę dobrze odegrać swoją rolę urażonej, pomyślała Sophie. To jedyny sposób, żeby się go pozbyć. Obronnym gestem uniosła ręce i oświadczyła:

- Posłuchaj. Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Było, minęło.

- Dla mnie nie - oświadczył Levi. Patrzył teraz otwarcie na nią, a jego spojrzenie niemal bolało. - Nie mam nic wspólnego z tym, co ci się przytrafiło w przeszłości. Czy możesz mi wybaczyć, że nie byłem z tobą szczery?

Nie. Sophie przeczuwała, że to był dopiero wierzchołek góry lodowej i przeraziła się, jak wiele oszustw jeszcze wyjdzie na jaw. Zbyt się bała, że jeśli mu zaufa, on zada jej rany, które nigdy się nie zabliznią. Potrząsnęła głową i pomyślała o przeszłości, która wydawała się niczym w porównaniu z obecną torturą.

- Nic nie poradzę na to, jakie piętno przeszłość na mnie wywarła. Chyba przyciągam do siebie mężczyzn, którzy nie potrafią mówić prawdy. Nasza rodzina w ogóle łatwo pada ofiarą oszustów. - Odważyła się podnieść na niego oczy. - Jestem prostą dziewczyną - ciągnęła. - Mówię to, co myślę. Idź już. Levi potarł kark.

- Co chcesz, żebym ci powiedział, Sophie? - spytał. - Przepraszam, że nie byłem z tobą szczery, ale tu dzieją się rzeczy, o których nic nie wiesz, i jeśli ci o nich powiem, znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

Sophie potrząsnęła głową. Była twarda.

- Więc nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Levi zmarszczył czoło.

- Nie dajesz mi szansy.

- Przykro mi. - Wzruszyła ramionami, chociaż czuła na barkach ciężar, jak gdyby dźwiagała nosidła z kubłami pełnymi wody.

Kiedy uniósł brwi, dając jej do zrozumienia, że zachowuje się dziecinnie, naprawdę poczuła się jak dziecko. Jak małe dziecko, które odkryło, że świat nie jest bajką. Levi oszukał ją w chwili, kiedy zaczynała wierzyć, że znalazła mężczyznę, któremu mogłaby z całym zaufaniem oddać serce. Mężczyznę, którego spojrzenie topiło lód w jej sercu, który potrafił słuchać, gdy przeskakiwała z tematu na temat, który mobilizował ją do myślenia, który potrafił ją rozśmieszyć, który podawał jej mocną dłoń, kiedy tego potrzebowała, w którego ramionach znajdowała ukojenie. Wszystko to prysło jak sen. Już jej się wydawało, że w Levim dostrzegła cechy, ja-

kich nie znajdowała u innych mężczyzn, którzy jej się nawet podobali, ale on kłamstwem zburzył jej nadzieje. Tego nie mogła mu wybaczyć.

- Proszę, idź.

Levi zmienił się na twarzy. Wyglądał teraz jak ktoś zupełnie obcy, jak wtedy nad rzeką, przy ich pierwszym spotkaniu. Arogancki, nieprzystępny, lekceważący.

- Przykro mi, że tak mnie taktujesz. - Odwrócił się, żeby odejść, lecz jeszcze spytał: - Gdzie jest William?

Smiley? Dlaczego go to interesuje?

- W pracy - odparła. - Masz coś do niego?

Czy on nigdy sobie nie pójdzie? Łzy paliły ją pod powiekami, gardło miała tak ściśnięte, że prawie nie mogła oddychać.

- Wyszły na jaw pewne fakty dotyczące poprzednich właścicieli Xanadu - rzekł. - Znasz ich nazwisko?

Sophie nie miała siły opowiadać o głupim naiwnym dziadku. Łatwiej było zaprzeczyć.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. - Zawrócił, podszedł do niej, a Sophie ogarnęła panika, że nie wytrzyma i padnie mu w ramiona. Cofnęła się. Przerazenie musiało odmalować się na jej twarzy, bo Levi zatrzymał się w pół kroku. - Żegnaj, Sophie - rzekł.

Zszedł po schodkach na zakurzoną bitą drogę, a Sophie uświadomiła sobie, że zrobiła dokładnie to, o co go oskarżała. Skłamała. I nie tylko w sprawie dziadka.

Levi wrócił do Xanadu. Jechał szybko, co wymagało maksimum koncentracji, lecz właśnie o to mu chodziło. Nie chciał myśleć. Nie chciał rozpamiętywać bólu w spojrzeniu Sophie. Właściwie chyba było bezpieczniej, by nie widziano jej w jego towarzystwie.

Bezpieczniej dla niej, ponieważ czuł zagrożenie osaczające go ze wszystkich stron. Jeśli wyniki śledztwa potwierdzą jego podejrzenia, wina Steve'a będzie przesądzona. Wszystkim im grozi niebezpieczeństwo.

Dwie godziny później Smiley wpadł do ambulatorium właśnie w chwili, gdy Sophie opatrywała nogę młodemu robotnikowi, który zranił się piłą łańcuchową.

Ludzie często wpadali do ambulatorium, ale Smiley nigdy. Sophie wystarczyło jedno spojrzenie na twarz brata, by natychmiast odgadnąć, o co chodzi.

- Odette? - spytała.

- Dzwoniła przez telefon satelitarny. Wody odeszły, skurcze co trzy minuty. Są z Levim przy brodzie Pentecost. Tylko tyle zdążyła powiedzieć, potem telefon zamilkł.

To wszystko nie miało sensu.

- Są tam, gdzie spotkałam Leviego tamtego pierwszego dnia? Po co tam pojechali?

Smiley potrząsnął głową. Nie był zadowolony ze zwłoki.

- Tam zginął ich ojciec.

Ich ojciec? Zginął? Nagle jej się przypomniało. Krokodyle.

- Pearson, tak?

Kiedy Levi przedstawił jej się w szpitalu w Kununurrze, wydawało jej się, że już kiedyś słyszała to nazwisko. Potem całkiem o tym zapomniała. To Levi doprowadził ją do takiego stanu. Przecież tak nazywali się ludzie, którzy podstępem przejęli rancho dziadka.

Levi nie jest gościem w Xanadu, tylko właścicielem. Dlatego wypytywał o jej rodzinę.

Kłamca. Nic dziwnego, że mogli korzystać z helikopterów, samochodów i czego tam jeszcze. Levi kolejny raz ją okłamał. Sophie przeciągnęła ostatni szew przez skórę chłopaka z taką energią, że Bogu ducha winna ofiara jej złości głośno zaprotestowała.

- Przepraszam - sumitowała się Sophie i błyskawicznie założyła opatrunek. - Uważaj, żeby tego nie zamoczyć - poinstruowała - i zgłoś się za tydzień na zdjęcie szwów.

Chłopak spojrzał na nią takim wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Obejdzie się. Sam je sobie zdejmę” i uciekł. Sophie westchnęła. Zanim Levi pojawił się w jej życiu, nigdy jej się nie zdarzyło, żeby była taka nieostrożna.

- Xanadu - zwróciła się teraz do brata. - Oni są właścicielami. - Smiley wcale nie był zaskoczony. - Wiedziałaś?

To był najgorszy zawód ze wszystkich.

- Odette prosiła, żebym ci nic nie mówił, bo Levi kazał jej milczeć - burknął Smiley.

- Ale, na miłość boską, dlaczego?

Ci ludzie i jego wciągnęli do konspiracji. Smiley potrząsnął głową i zaczął ją popędzać.

- To nieistotne, zresztą mało mnie cała ta sprawa obchodzi - rzekł i rozejrzał się po ambulatorium, jak gdyby pytał, co muszą ze sobą zabrać. - Jedźmy.

Smiley, który zawsze jeździł ostrożnie, prowadził teraz niczym kierowca rajdowy. Droga do brodu zajęła im tylko godzinę. Rekord Kimberley, którego Sophie wolałaby nie pobić. Zęby jej dzwoniły, kurz wciskał się do oczu, lecz milczała. W głowie brzmiały jej słowa brata: „To nieistotne, zresztą mało mnie cała ta sprawa obchodzi”.

Dlaczego więc dla niej było istotne, że Levi zataił przed nią prawdę? Dlaczego tak ją to obeszło? Czy przesadza? Czepia się słówek? Nawet nie chciała myśleć, co by ryzykowała, gdyby Levi chciał się z nią ponownie spotkać.

Smiley miał rację. Teraz nie był czas na takie sprawy. Teraz to było nieistotne. Musi przestać myśleć o perfidii Leviego i skupić całą uwagę na Odette.

Zacisnęła ręce na torbie lekarskiej, którą trzymała na kolanach, i zaczęła wyobrażać sobie rozmaite scenariusze. Miała nadzieję, że tym razem będzie to normalny poród, nie pośladowki. Przynajmniej będą mogła liczyć na pomoc Leviego, pomyślała nie bez ironii.

Dlaczego nie zabrał Odette do domu? Na pewno nie chce, żeby urodziła na pustej drodze. Nigdy nie zrozumie tych ludzi.

Kiedy dotarli na miejsce, wyjaśniło się, dlaczego tam tkwią.

Powietrze ze wszystkich czterech kół terenówki Leviego było spuszczone. Obok stał radiowóz miejscowej policji, a dwóch policjantów rozmawiało przez radio.

Smiley podjechał z wizgiem, wyskoczył z auta i pobiegł do Odette, która w spodniach i samym biustonoszu siedziała oparta plecami o pień baobabu. Na ich widok wybuchnęła płaczem. Coś tu nie gra, pomyślała Sophie.

Levi siedział obok siostry i obejmował ją ramieniem. Kiedy Smiley podszedł, ustąpił mu miejsca.

Sophie zrobiła w tył zwrot i bacznie przyjrzała się rzece. Dwa wielkie krokodyle trwały nieruchomo w cieniu i żółtymi ślepiami, nie mrugnawszy powieką, obserwowały ludzi. No, no.

Zapominając o urazach, Sophie zerknęła na Odette w objęciach Smileya i zwróciła się do Leviego:

- Dobrze się czujesz?

- Znośnie - odparł ponurym tonem. - Telefon satelitarny padł zaraz po rozmowie z Williamem i policją.

Sophie zmarszczyła brwi. Levi nie wyglądał dobrze.

- Jesteś ranny?

- Drasnęła mnie zabłąkana kula. Nic mi nie jest.

Odgiął rękę, którą cały czas przyciskał do piersi, i wtedy Sophie zobaczyła, że lewe ramię ma przewiązane zakrwawioną szmatą. Domyśliła się, że to bluzka Odette.

- Zobaczę.

- Wpierw zajmij się Odette.

Wciąż wydawał polecenia. Typowe.

Sophie szybko obejrzała się na Odette. Nie sprawiała wrażenia kobiety w ostatniej fazie porodu.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Teraz już dobrze - zapewniła ją Odette, nie odrywając twarzy od piersi Smileya.

- W takim razie pokaż rękę - poleciła Sophie.

Levi zgromił ją wzrokiem, ale posłusznie wykonał polecenie.

- Pospiesz się. On może znowu zacząć strzelać. Sophie spokojnie odwiązywała prowizoryczny opatrunek.

- Zakładam, że stoimy po właściwej stronie drzewa - rzekła, a potem ruchem głowy wskazała rzekę i dodała: - Tam też na nas czyhają. Policja obroni nas przed mordercą, ale nie przed tymi potworami czekającymi na smaczny kąsek.

Levi uniósł brwi.

- Widocznie już taka twoja rola, żeby przestrzegać mnie przed krokodylami.

- A twoja rola widocznie polega na tym, żeby zatajać przede mną prawdę - odcięła się. - Ale o tym porozmawiamy później - dodała.

Kiedy Sophie zdjęła prowizoryczny tampon, zobaczyła ranę postrzałową, gładki wlot i postrzępiony wylot. Kula przeszła przez mięsień, nie powodując większych obrażeń. Levi miał rację, od tego się nie umiera. Trysnęła krew, więc Sophie błyskawicznie założyła tampon z powrotem.

Levi jęknął z bólu.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Zagoi się. Zabierzcie stąd Odette. On chyba oszalał.

- Sądzę, że policja zabierze nas wszystkich - rzekła.

Levi gwałtownie potrząsnął głową.

- Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki go nie dopadnę - warknął.

Sophie dotknęła jego ramienia.

- W twoim stanie to będzie raczej trudne.

- Steve albo ktoś inny strzelił do nas, kiedy Odette zegnała się z tym miejscem. Chciał zabić moją siostrę. Nadal tam jest, chociaż policja jest przeciwnego zdania.

Utkwił wzrok w jej twarzy. W jego oczach Sophie ujrzała determinację.

- Zostanę, dopóki go nie złapiemy. Zrób, o co proszę. Zabierzcie stąd Odette. Jeśli zostaniecie, on zechce zabić i was. - Sophie spojrzała na Smileya, który usiłował zająć czymś i uspokoić Odette. - Zabierzcie ją stąd - powtórzył Levi.

W tym samym momencie kula trafiła w drzewo za nimi ułamek sekundy przed tym, jak usłyszeli świst. Smiley nakrył Odette sobą i dał nura za drzewo. Levi chwycił Sophie, pchnął ją na ziemię i zasłonił własnym ciałem. Nie chciała, by ją chronił z narażeniem życia, lecz wiedziała, że nie posłucha jej protestu. Na szczęście, po chwili, kiedy strzały się nie powtórzyły, Levi ześliznął się z niej i położył obok.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Pokręciła głową. Chciał ją chronić kosztem siebie! Łzy wzruszenia zapiekły ją pod powiekami. A może postąpiłby tak samo, gdyby chodziło o inną kobietę? Może nie powinna przypisywać mu osobistych intencji?

Najtrudniej jej było odsunąć od siebie wspomnienie ciężaru jego ciała, męskiego zapachu, który przywodził na myśl chwile w jego ramionach.

Podnieśli się, ukucnęli, zaczęli strząsać z siebie zeschnięte liście baobabu. Sophie zauważyła, że prowizoryczny opatrunek na ramieniu Leviego przesunął się i że rana znowu krwawi.

- Pozwól - rzekła i poprawiła tampon.

- Dzięki.

Ich oczy spotkały się. Sophie poczuła, że się czerwieni.

- Zawsze do usług. Levi uniósł brwi.

- Uważaj, bo skorzystam z propozycji - zażartował.

- Ten facet nie daje za wygraną - odezwał się Smiley, kiedy we czwórkę siedzieli za na szczęście grubym pniem baobabu.

Policjanci dali nura za swój wóz, a jeden z nich wystrzelił w kierunku, skąd nadleciała kula.

- Strasznie mi przykro, że zostaliście uwikłani w plan Steve'a - sumitował się Levi.

Sophie spojrzała na niego, potem na brata.

- W jaki plan? - spytała. - Czy jest jeszcze coś, czego nie wiem?

Levi westchnął.

- Wiesz, że helikopter został celowo uszkodzony, ale nabrałem pewności, że pięć miesięcy temu mojego ojca wepchnięto do rzeki. To się stało w tym miejscu. Ten, kto to zrobił, teraz do nas strzela. Jestem przekonany, że to mój brat przyrodni, Steve.

Sophie nie wierzyła własnym uszom. Tu mieszkają spokojni hodowcy bydła. To nie jest miejsce na jakieś gangsterskie porachunki.

- Steve jest twoim przyrodnim bratem? Jej zdumienie nie uszło uwagi Leviego.

- Chodzi o Xanadu - wyjaśnił. - Wygląda na to, że mój dopiero co odnaleziony brat spodziewał się, że odziedziczy majątek. Bardzo mu na tym zależy. - Urwał, po chwili mówił dalej:

- Jeśli my wszyscy tutaj zginiemy...

Nie dokończył, przyciągnął Sophie do siebie i pocałował w usta.

- Jesteś najbardziej zadziwiającą kobietą, jaką znam - zakończył.

Pocałował ją. Na celowniku snajpera. A sądząc z miny, bardzo mu się to spodobało. Wariat.

- Chyba oszalałeś. Znajdujemy się pod ostrzałem!

- Dlatego uznałem, że warto ci to teraz powiedzieć. - Poglądził ją po policzku. - I nie kłamałem.

Rozległ się odgłos zapuszczanego silnika. Smiley ostrożnie wyjrzał zza pnia drzewa.

- Wygląda na to, że ktoś jeszcze zrobił tu sobie postój, ale się wystraszył - mruknął.

Levi walnął pięścią o pień drzewa.

- Równie dobrze mógł to być nasz człowiek - zauważył.

Policjanci wskoczyli do radiowozu i ruszyli w pościg.

- Gliny chyba dzielają twoje zdanie - rzekł Smiley.

- Psiakrew, szkoda, że nie widziałem tego samochodu - zdenerwował się Levi. - Dobra, zabieramy dziewczyny i zmywamy się stąd.

Smiley wstał i podszedł do ciężarówki, by podjechać bliżej Odette, zaś Sophie przysunęła się do niej i spytała:

- Dobrze się czujesz?

Odette siedziała z pochyloną głową, trzymając się za brzuch.

- Chyba rodzę - szepnęła i jęknęła.

- Chyba będziemy musieli zostać tu chwilę dłużej - odezwała się Sophie do wszystkich naraz i do nikogo w szczególności. Dotknęła ramienia Odette. - Co się dzieje?

Odette podniosła na nią oczy i szepnęła:

- Muszę do toalety. Sophie spojrzała na Leviego.

- Sądzę, że zaczęła już przeć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie! Tylko nie tutaj! - Levi wznosił oczy w górę i spojrzał na gałęzie baobabu z nie-licznymi liśćmi.

Mógł znieść, że do niego strzelają, ale nie to, że siostra rodzi pod przydrożnym drzewem. Pragnął dla niej sterylnych warunków, bezpieczeństwa, lekarza, sali operacyjnej. Nie mógł stracić Odette, tak jak stracił jej matkę. Taki koszmarne scenariusz śnił mu się po nocach. Nie sprawdził się jako opiekun.

Najpierw wypadek helikoptera, potem ostrzał z ukrycia, teraz to. Musi ją stąd zabrać.

- Błagam, Odette. Wstań. Spróbuj - przemawiał do niej.

- Siła wyższa. - Sophie popatrzyła na niego karcąco. - Odette już zaczęła przeć. Dziecko pcha się na świat.

Siła wyższa? Chciał, by Odette rodziła w miłym otoczeniu, w komfortowych warunkach, jakie zapewnia szpital. Najlepiej szpital w Sydney. Jak do tego doszło?

- Chodź, Odette - upierał się. - Musisz wstać.

Odette podniosła głowę. Starła się uśmiechnąć, lecz wargi jej drżały.

- Nie mogę. Przepraszam.

Levi i Sophie wymienili spojrzenia. No tak, miała rację. Znowu.

Tymczasem Smiley podjechał ciężarówką na wstecznym biegu. Wskoczył z kabiny i zakomenderował:

- Jedziemy.

Levi wzrokiem wskazał kobiety. Wyczuwał ich milczące porozumienie, w którym mężczyźni nie mieli udziału.

- Sophie mówi, że Odette rodzi - wyjaśnił.

- Nie tutaj! - wykrzyknął Smiley i obejrzał się na rzekę. - Zjedzą nas krokodyle, jeśli się stąd nie ruszymy.

- Więc pilnuj, żeby to się nie stało - rzuciła Sophie szorstko. - Odette wstanie, jak dziecko się urodzi.

- Powiedz im, żeby stąd odeszli - wyszeptwała Odette.

Sophie natychmiast spełniła jej prośbę.

- Nie widzicie, że jesteśmy zajęte? - rzekła.

Smiley zamrugał ze zdziwienia, ale posłusznie wycofał się i zajął pozycję na straży pomiędzy nimi a rzeką.

Levi przyglądał się kobiecie, która tak niespodziewanie pojawiła się w ich życiu i która w najgorszych tarapatach nie traciła zimnej krwi. Bogu dzięki, że jest tutaj, pomyślał. Co byśmy bez niej zrobili? Co ja bym bez niej zrobił?

W którym momencie wszystko się zmieniło? Kiedy Sophie stała się dla niego ważniejsza od poczucia winy, jakie go dręczyło, ilekroć nie mógł komuś pomóc? Ważniejsza od chęci znalezienia zabójcy ojca. Ważniejsza od niego samego, gdy dochodziło do zagrożenia życia. Czy to ona jest jego nieprzewidzianym przeznaczeniem?

Tymczasem Sophie i Odette siedziały oparte plecami o pień baobabu.

- Wsłuchuj się we własny organizm, a ja zajmę się resztą - mówiła Sophie. - I skoncentruj się na prawidłowym oddychaniu. Dostosuj rytm oddechu do skurczy.

- Potem zwróciła się do Leviego: - Potrzebna mi torba lekarska i koce. Są w kabinie. Możesz je przynieść?

Przynajmniej na coś się przydam, pomyślał.

- Gdzie mam je rozłożyć? - spytał, wracając.

- Ten grubszy obok nas, cieńszym okryj Odette. Torbę i ręcznik daj tutaj. Dzięki.

Pomogła Odette rozebrać się pod kocem, potem z torby wyjęła jednorazowy zestaw położniczy, syntocinon odłożyła do podania po porodzie, ręce umyła płynem antyseptycznym i naciągnęła rękawiczki.

- Warunki tu trochę prymitywne, ale w porównaniu z chatą w obozie Aborygenów o niebo lepsze - stwierdziła.

Levi zdusił w sobie śmiech. Sophie wiedziała, co mówi. Przyglądał się, jak z powrotem siada, opiera się o pień drzewa i spokojnie czeka z rękami złożonymi na podołku. Jak mogę wrócić do Sydney i zostawić ją tutaj? - myślał. Pomijając drobny fakt, że ona mnie nie chce.

Odette podniosła głowę i spojrzała na Sophie.

- Powiedziałaś Williamowi, że z dzieckiem jest tak samo jak z cielakiem albo żrebakiem - odezwała się.

Sophie uśmiechnęła się do niej i odgarnęła jej kosmyk z czoła.

- Papła. Nie powinien ci tego powtarzać - rzekła.

- Powiedziałam tak, bo był przerażony. Ale idzie ci tak świetnie, że może to i prawda?

Levi zobaczył, że siostra jest bliska łez.

- Chcę do domu - szepnęła, pociągając nosem. - Nie mogę uwierzyć, że tu mnie dopadło. Jego wina.

- Za to ja, znając was, mogę - zażartowała Sophie i zerknęła na Leviego.

Śmiech Odette nagle przeszedł w jęk bólu przy kolejnym skurczu. Levi zaczął wykręcać sobie palce. Czuł się tak cholernie bezradny i beużyteczny. Nic nie mógł zrobić.

- Świetnie - pochwaliła Sophie spokojnym, niemal hipnotyzującym tonem, na jaki on nigdy nie potrafiłby się zdobyć w podobnych okolicznościach. - Teraz oddychaj powoli. Już niedługo. - Jak gdyby wyczuwając jego napięcie, Sophie spojrzała na niego i dodała: - Tobie też przyda się kilka spokojnych oddechów.

Zawsze musi jej się czymś narazić.

- Mogę coś jeszcze przynieść? - spytał.

- Trochę wody do picia dla Odette. W kabinie jest butelka. I może sprawdź, w jakim stanie jest Smiley, dobrze?

Innymi słowy, odejdz i zostaw nas w spokoju. W porządku. Może nawet lepiej, jeśli usunę się na bok, dopóki nie będzie po wszystkim?

- On ma na imię William! - Odette mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Levi podał jej wodę i odszedł, a Sophie odprowadziła go wzrokiem. Sprawiał wrażenie opanowanego, biorąc pod uwagę przeżyte emocje oraz fakt, że Odette przytrafiło się to, czego się najbardziej obawiał. Sophie nie mogła zagwarantować, że wszystko pójdzie gładko, mogła tylko zakładać, że tak będzie i na bieżąco rozwiązywać problemy, gdyby się pojawiły.

A gdyby potrzebowała, Levi udzieli jej pomocy i wsparcia. Pokładała w nim ogromną wiarę, chociaż nie wiedziała, skąd się ona bierze. Po prostu nagle uznała, że dobrze go mieć przy sobie. Zaczęła się obawiać, że mogłaby się do tego zbyt przyzwyczaić.

Odette chwyciła ją za rękę i Sophie natychmiast wróciła do rzeczywistości.

Dziewczyna oddychała szybko i płytko.

- Dlaczego mnie to spotkało?

Sophie uściśnęła jej ramię, chcąc dodać jej otuchy.

- Nie wiem. Oddychaj, napinaj mięśnie brzucha przy wdechu i rozluźniaj przy wydechu, a dziecko samo przesunie się przez kanał rodny.

Odette posłusznie wykonała kilka wdechów i wydechów i w końcu Sophie zobaczyła główkę.

- Widzę już ciemne włoski - natychmiast powiadomiła Odette. - Twój synek nie urodzi się łysy.

Odette wbiła w nią wzrok i rzekła:

- Skurcze minęły, teraz czuję pieczenie.

- Prawidłowo - zapewniła ją Sophie. - Wszystko tam musi się teraz porozciągać. Zatrzymanie się główki właśnie temu służy.

- Nigdy więcej - jęknęła Odette i zaraz potem już normalnym głosem spytała: - Mogę go dotknąć?

- Oczywiście. - Sophie uśmiechnęła się. To zawsze była jej ulubiona, niezwykle wzruszająca chwila. Ujęła dłoń Odette i przytknęła do ciemienia dziecka. - Śmiało.

Odette aż podskoczyła, czując pod palcami twardą główkę.

- O Boże! - wykrzyknęła. - Tak nie powinno być.

- Wszystko jest tak, jak być powinno - zapewniła ją Sophie. - Przy następnym skurczu główka wysunie się więcej. Tylko pamiętaj, powoli wydychaj powietrze.

Nie chcesz, żeby twoje dziecko wyskoczyło za szybko, prawda?

- Nie chcę? - spytała Odette przez zęby. - Chyba żartujesz.

Zamknęła oczy, zrobiła wydech, główka przesunęła się kawałeczek. Sophie odgarnęła Odette włosy z czoła i oczu.

- Jesteś cudowna - pochwaliła ją. Nastąpiły kolejne skurcze, pokazało się czoło, oczy, nosek, podbródek. - Mruga, wiesz? - powiedziała i po chwili trzymała na dłoniach synka Odette.

Wytarła go ręcznikiem i położyła na piersi matki. Nakryła ich oboje kocem, dała Odette zastrzyk i czekała na trzeci etap porodu, wydalenie łożyska. Kiedy to nastąpiło, przez miękką skórę brzucha sprawdziła macicę. Była twarda i obkurczona. Z powrotem nakryła Odette kocem i zmierzyła jej puls.

- Już po wszystkim - rzekła Odette i uśmiechnęła się do niej z radością. - Dokonałam tego. Twoja obecność bardzo mi pomogła. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo.

- To dla mnie zaszczyt - zapewniła ją Sophie.

Siedziały w milczeniu, chłonąc spokój buszu. Zastanawiały się nad cudem narodzin w tak pierwotnym otoczeniu. W pewnej chwili dziecko poruszyło się i Odette pogładziła je po główce.

- Poproś tutaj Leviego i Williama, dobrze?

W jej oczach było tyle matczynej czułości, że wzruszenie chwyciło Sophie za gardło. Właśnie za takie chwile kochała swój zawód.

- Gratulacje - rzekła do młodej mamy. - Spisałaś się na medal.

- Dziękuję - odparła Odette. - Czy on nie jest cudny?

Levi i Smiley podeszli i zaczęli zachwycać się chłopczykiem, Sophie zaś odsunęła się na bok i obserwowała rzekę.

Kilka minut później Levi stanął obok niej.

- Uścisknę cię, czy sobie tego życzysz, czy nie - rzekł i objął ją zdrowym ramieniem. - Dziękuję ci - szepnął.

Jego ramię było ciężkie, ciepłe i mocne. Dawało ukojenie, jakiego się nie spodziewała po tak zwyczajnym gościu. Sophie oparła głowę na piersi Leviego i przytuliła policzek do jego bijącego serca.

Nie należała do osób, które szukają wsparcia u innych. Do tej pory nie nauczyła się go szukać. Levi w zadziwiający sposób potrafił uwolnić ją od zmęczenia. Miała uczucie, jak gdyby zdejmował z jej barków ciężki pled. Spojrzeniem budził w niej nową energię, nie mówiąc o magicznym działaniu uścisku jego ramion. Sophie żałowała, że nie chciała go wysłuchać, kiedy prosił, aby dała mu szansę.

Zmarszczyła nos, czując zapach krwi. Nagle otrzeźwiała. Przecież on mógł zginąć. W tej chwili już by nie żył. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak mało brakowało, a straciłaby mężczyznę, którego kochała. Tak, teraz nie miała wątpliwości, co do niego czuła. Dlaczego potrzebowała tyle czasu, żeby to zrozumieć?

Kocha go. Oczy zaszczyły ją od łez.

- Znowu się spotkaliśmy - szepnął tuż przy jej włosach. - A już sądziłem, że nigdy cię nie zobaczę.

Bogu niech będą dzięki, że stało się inaczej, pomyślała. Zamknęła powieki. Dwie łzy pociekły jej po policzkach.

- Los najwidoczniej sprzysiął się przeciwko tobie - odparła.

- Uhm - mruknął. - Niestety nie tylko los się sprzysiął. Przykro mi, że ty i William zostaliście w to wszystko wplątani.

W tej samej chwili Sophie przypomniała sobie, że ona też zataiła przed nim pewne fakty. Śmieszne. Przyganiał kocioł garnkowi. Oskarżała jego, a sama nie jest lepsza. Nie wiedziała jednak, jak zacząć mu wszystko wyjaśniać.

- Gratuluję nowego członka rodziny - rzekła i odsunęła się od Leviego.

Odwróciła głowę, by dyskretnie otrzeć mokre policzki.

- Szczęściarz z niego. Zaczyna bez żadnych obciążeń - odparł cierpko.

Czuła na sobie jego wzrok. Zaczynać bez obciążeń. Czy ona może odwrócić kartę i zacząć od nowa?

- Co byś zrobił, gdybyś dostał nową szansę? - spytała.

Odwróciła głowę od rzeki i spojrzała mu w twarz.

Nie widziała krokodyla, który przesunął się bliżej nich. Skupiła całą uwagę na Levim, na pokusie rzucenia mu się na szyję. Nie wiedziała, czy da radę żyć ze świadomością, że miała szansę i ją odrzuciła. Teraz przestała się okłamywać.

Ogromny krokodyl przyglądał się jej nieruchomymi żółtymi ślepiami. Dopiero gdy się poruszył, Levi dostrzegł grożące im niebezpieczeństwo.

W ostatniej chwili chwycił Sophie za rękę i pociągnął ją do siebie, a potem w stronę ciężarówki.

- Zabierajmy się stąd. Krokodyle zgłodniały.

Sophie znowu zapomniała o zagrożeniu. A przyrzekła sobie, że już zawsze będzie pamiętała. Mało brakowało, a znalazłaby się w paszczy bestii.

- Moja kolej cię ostrzec - rzekł Levi.

Sophie obejrzała się za siebie i aż ją ciarki przeszły.

- Mało brakowało.

- Czas się zbierać, William! - zawołał Levi, a Sophie pomyślała o swoim ukochanym psie i o tym, jak zginął.

Zapomniała o żelaznych zasadach. To ona powinna pamiętać o czyhających w buszu zagrożeniach. Kolana się pod nią ugięły. Oparła się o bok ciężarówki, by nie upaść. Oboje mogli zostać rozszarpani przez krokodyle. Widząc, w jakim jest stanie, Levi pomógł jej wsiąść do kabiny.

Spojrzeni jeszcze raz w stronę rzeki. Krokodyl zatrzymał się dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stali. Zły, ruszał grubym ogonem. Jego towarzysz również wyszedł z wody i do niego dołączył.

Smiley aż gwizdnął na ich widok. Szybko pozbierał wszystkie rzeczy i przeniósł Odette z dzieckiem do ciężarówki.

- Zwiewajmy - rzekł do Leviego - zanim zjedzą całą twoją rodzinę.

- Twoją też - burknął Levi.

- Nigdy nie widziałem ich tak rozjuszonych - ciągnął Smiley. - Dziwnie się zachowują.

- Nie wymagaj ode mnie współczucia dla tych bestii - odparł Levi. - Chociaż zastanawiam się, czy to też nie jest część planu Steve'a. Mógł je dokarmiać, bo wiedział, że Odette zamierza umieścić tutaj pamiątkową tablicę.

- Jeśli go nie złapią, nigdy się nie dowiemy.

W ponurych nastrojach wracali do Xanadu. Smiley prowadził, Odette z synkiem siedziała obok, Levi wcisnął się do tyłu, a Sophie usiadła mu na kolanach. Po przeżytych emocjach z radością przytuliła się do niego.

Kiedy dotarli na miejsce, Levi objął ją ramieniem i zaprowadził do głównego budynku. Sophie cały czas myślała o ich porannej rozmowie i o tym, w jaki sposób się pożegnali, sądząc, że to rozstanie na zawsze.

- Przed odjazdem opatrzę ci ranę - zaproponowała. Levi potrząsnął głową.

- Drobiazg. Nic mi nie jest. Wpierw zajmijmy się Odette. Poza tym dobrze nam zrobi łyk czegoś mocniejszego.

Przywołał kogoś z obsługi i poprosił o przyniesienie drinków. Tymczasem Sophie zapomniała o krokodylach. Bardziej ją przerażało to, że do nich strzelano. Levi mógł przecież zginąć.

- Zgoda, ale nie ruszę się stąd, zanim nie obejrzę twojej rany - oświadczyła.

Levi spojrzał na nią i mruknął:

- Lepiej pomyśl o sobie.

Sophie obserwowała go, jak skacze koło Odette, jednocześnie usiłując dodzwonić się na policję i na prawo i lewo wydając polecenia.

Steve'a złapano. Znajdował się w policyjnym areszcie. Levi natychmiast poinformował o tym cały personel.

Dość tego, uznała Sophie w końcu. Rana była ważniejsza.

- Nie możesz odłożyć tego na później? - spytała.

Levi uśmiechnął się do niej, a jej od razu ciepło zrobiło się koło serca. Będę tęsknić, kiedy wyjedzie, pomyślała.

- Co poczniesz, kiedy mnie tu zabraknie? Nie chciała się nad tym zastanawiać.

- Poczuję się samotna - odparła. Powiedziała to bardziej do siebie niż do niego i nawet nie zauważyła, jak zmienił się na twarzy.

- Przyniosę swoją torbę - ciągnęła i chciała odejść, lecz on chwycił ją za rękę i przytrzymał.

Tak samo, jak tamtego pierwszego wieczoru, tylko że teraz jej palce splotły się z jego palcami.

- Zaczekaj.

Rozejrzał się, pociągnął ją za sobą na werandę i dalej po schodach w dół ku ławce pod baobabem. Tym razem mu się nie opierała. Patrząc jej w twarz, spytał:

- Co to znaczy samotna?

Czy może to zrobić? Ma go odrzucić czy zdobyć się na odwagę i podjąć ryzyko? Ogarnął ją lęk przed bólem większym niż wszystkie ciosy, jakich dotychczas doświadczyła. Dzisiejszy dzień, kiedy otarli się o śmierć, okazał się cenną lekcją. Musi zaryzykować.

- To znaczy, że bez ciebie będę samotna - odparła.

Spojrzała na Leviego. Oto mężczyzna, który szturmem wtargnął w jej życie, i mimo że ona cały czas mu się opierała, podbił jej serce.

- Chyba się przyzwyczaiłam do tego, że jesteś blisko. I zabrało mi to tylko tydzień - dodała ze śmiechem.

Było zbyt późno, by zaprzeczać, że ją pociąga jak żaden inny mężczyzna. Owszem, dostrzegała oznaki bogactwa, którym pogardzała, były kłamstwa, których nie znosiła, lecz z drugiej strony Levi sprawiał, że stawała się pełniejsza jako człowiek. On instynktownie wyczuwał, kiedy potrzebuje wsparcia, i je ofiarowywał. Przedtem nikt nigdy nie rozumiał jej tak dobrze. Tak, to było sedno wszystkiego.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

Zrozumiała, że zadała to pytanie na głos.

- Dlaczego ty mnie rozumiesz, a inni nie?

- Gdybyś spróbowała - zaczął łagodnym głosem - ty też mogłabyś mnie zrozumieć.

Sophie podniosła wzrok. Zobaczyła Leviego takim, jakim naprawdę był.

Zobaczyła jego troskę, gotowość uczenia się nowych rzeczy, słuchania jej, poznania jej punktu widzenia. Gotowość bycia z nią i dźwigania wspólnie ciężaru, kiedy okazuje się zbyt duży na jej barki, gotowość wyciągnięcia do niej dłoni, by z jego pomocą mogła pięć się w górę. Zobaczyła rozpostarte ramiona, żeby mogła się w nich schować i znaleźć ukojenie. Możliwe, że rozumiała go w taki sposób, w jaki nie chciała rozumieć nikogo innego. Teraz, bardzo

ostrożnie, jak przez dziurkę od klucza, odważyła się spojrzeć w przyszłość u jego boku. O ile tylko zdecyduje się mu zaufać.

Czy to aż takie proste i łatwe?

- Możliwe, że odrobinę cię rozumiem. Levi objął ją zdrowym ramieniem.

- Dwoje ludzi pochodzących z przeciwnych stron tego ogromnego kraju spotyka się i wspólnie przeżywa niewiarygodne przygody. Oboje się zmieniliśmy. Może tak jest nam pisane?

Sophie potrząsnęła głową. Zupełnie się pogubiła.

- To niemożliwe. Przecież ty mieszkasz tam, gdzie ja nigdy nie potrafiłabym żyć.

- I vice versa - odparł ze śmiechem. Beznadzieja. Wiedział o tym.

- Widzisz?

- Z czasem się przyzwyczaimy. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - Uścisnął ją, potem pomógł jej wstać. - Chodź. Musisz odpocząć. Ten dzień niezłe dał nam w kość. - Poglądził jej policzek i dodał: - Ale jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Wtedy sobie przypomniała.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła. Levi przystanął.

- Czyżbym się mylił, czy w twoim głosie słychać wyrzuty sumienia?

Zaczerwieniła się, a on się roześmiał.

- No, no. Pani Wszystkowiedząca coś przede mną ukrywa? - Sophie milczała. Usiedli z powrotem na ławce. - Nie będę cię poganiał - rzekł. - Ta chwila jest bezcenna, więc niech trwa.

Sophie nieśmiało pochyliła głowę, lecz zaraz dumnie zadarła podbródek i zaczęła:

- Pamiętasz, jak zapytałeś, czy znam nazwisko poprzednich właścicieli Xanadu?

- Uhm.

Dlaczego on mi się tak przygląda, jak gdyby ledwie mnie słuchał?

- Uważaj więc. Mam nieczyste sumienie. Levi uścisnął jej ramię.

- To dobrze, bo wyglądasz uroczo.

- Powiedziałam, że nie wiem - urwała, wzięła głęboki oddech i dokończyła - ale to nieprawda. Skłamałam. Chodzi o mojego dziadka. I oczywiście dziadka Smileya. Ojca naszego ojca.

Levi wybuchnął śmiechem.

- Okłamałaś mnie?

Sophie odwróciła wzrok.

- To długa historia. Nie chciałam wtedy o tym rozmawiać.

Jak on śmie się ze mnie naigrawać?

- Okłamałaś mnie - powtórzył. Sophie zgromiła go wzrokiem.

- Ale nie tyle razy co ty mnie, chociaż przyznaję, że jest w tym wszystkim pewna ironii losu.

- Znakomicie. - Popatrzył na nią poważnie. - Chyba nie będę mógł już z tobą rozmawiać. Zbyt mnie zraniłaś - oświadczył.

Sophie zeszywniała. Zraniła go. I nagle zrozumiała, że Levi żartuje, że się z nią tylko droczy. Wstręciuch.

- Czyli pod tą posepną maską kryje się żartowniś, tak?

- Ja? Posepny? W życiu. Jestem po prostu zmęczony pracą. - Pocałował ją i ciągnął: - Musisz przyznać, że to zabawne, że ty, osoba taka zasadnicza, również skłamałaś. - Sophie nie odpowiedziała. - A więc nazywał się Sullivan, tak? Twój dziadek. Wychodzi na to, że ty ze Smileyem jesteście prawdziwymi właścicielami Xanadu.

W innym życiu.

- Nie jesteśmy - zaprzeczyła.

Levi namyślał się chwilę, potem rzekł:

- Mój dziadek oszukiwał w karty i przyznał się do tego na piśmie. Właściwie to był bardzo z siebie dumny, że pozbawił twojego dziadka majątku.

Czy to coś zmienia?

- Dobre geny pan ma, doktorze Pearson - stwierdziła kąśliwie.

Levi puścił do niej oko.

- Pracuję nad sobą. Co to ma znaczyć?

- Wszystko jedno. Cokolwiek napisał, to nie ma żadnej mocy prawnej.

- Do tego tematu również wrócimy później.

Pozostawała kwestia pieniędzy. Sophie wołała od razu ją poruszyć i mieć to z głowy.

- Jesteś dobrze sytuowany, prawda?

Leviemu udało się zachować powagę, chociaż Sophie dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach.

- Obawiam się, że tak - odparł. - Nawet bogaty. Dziadek potroił majątek, ja też inwestowałem z powodzeniem.

- Aha. - Wydawał się tak różny od Brada. - Ale wciąż pracujesz i pomagasz ludziom, chociaż nie musisz.

- Muszę. Robię to dla siebie samego. Nie jestem dumny z ojca ani z dziadka. Oni nie myśleli o innych. Kiedy zmarł mój brat, przyrzekłem sobie, że zrobię coś, żeby zasłużyć na jego uznanie. Coś dobrego.

Spojrzał na Sophie takim wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że dzięki niej ten dzień stał się lepszy.

Pomyślała, że od śmierci rodziców nikt nie patrzył na nią w taki sposób.

- Zmieniłeś się, odkąd cię poznałam - rzekła.

- Naprawdę? Jeśli tak, to pod twoim wpływem. Przez ostatnie dwa lata harowałem jak wół i zapomniałem, że można się uśmiechać. Ale pewna zasadnicza młoda położna uświadomiła mi, że nie można wciąż żałować tego, czego już nie da się zmienić.

- Czego nie da się zmienić? - Musi to wiedzieć. Musi wiedzieć, co ukształtowało tego człowieka, którego pokochała. Spróbować, o ile potrafi, mu pomóc. - Co tobą aż tak bardzo wstrząsnęło? Powiesz mi?

- Strata pacjentki. Obwiniam się o jej śmierć.

- Zmarła podczas operacji?

- Nie, moja ty panno Niecierpliwa. Nie podczas operacji. Żaden z moich pacjentów nie umarł podczas operacji.

- Przepraszam.

Popatrzył na nią karcąco, a ona bardzo wzięła sobie do serca jego naganę. Uśmiechnął się, lecz natychmiast spoważniał.

- W dniu, kiedy postawiłem diagnozę, że nic nie mogę dla niej zrobić, rzuciła się pod ciężarówkę.

Sophie aż zachłysnęła się powietrzem. Nic dziwnego, że przejął się tym samobójstwem.

- Zupełnie tak jak twój brat - rzekła i zaraz dodała z przekonaniem: - To też prawdopodobnie był wypadek.

Ścisnęła jego dłoń, a on, ku jej ogromnej radości, oddał uścisk. Cieszyła się, że może okazać mu odrobinę współczucia i że jej gest został przyjęty.

- To nie był wypadek - oświadczył. - Mogłem przynajmniej spróbować coś zrobić. Tchnął w nią wiarę, przekonać, że w nauce wciąż dokonuje się postęp i że jest dla niej nadzieja. - Urwał i potrząsnął głową. - Dla niej jest już za późno, ale ja zacząłem pracować intensywnie.

niej. Staralem się zoperować jeszcze więcej ludzi, aż nawet koledzy radzili mi, żebym zwolnił tempo i wziął urlop.

Sophie doskonale rozumiała owo uczucie bezradności wobec ogromu potrzeb, jakim nie można sprostać. Odkąd wróciła do Kimberley, też harowała jak wół. Tylko że ona robiła to z innego powodu.

- Nie można pomóc całemu światu - stwierdziła filozoficznie.

- Kiedy mój ojciec nagle zmarł, zaintrygowało mnie kilka punktów jego testamentu. Sądziłem, że mnie nienawidzi, lecz żałowałem, że nie spróbowałem namówić go, żeby zajął się czymś wartościowym. Może nie dorosłem do rozmowy z nim?

Sophie znowu ścisnęła jego dłoń.

- Ludzie odchodzą tak niespodziewanie, a my żałujemy, że z nimi nie rozmawialiśmy. Każdy ma takie uczucie.

- Ja na pewno - odparł i spojrzał na nią z wdzięcznością, że tak dobrze go rozumie.

Jedno dla Sophie pozostawało zagadką.

- Twój ojciec zmarł pięć miesięcy temu, prawda? Dlaczego zwlekałeś z przyjazdem?

Levi wzruszył ramionami.

- Musiałem przyjąć wszystkich pacjentów, jakich miałem zapisanych. I czekać, aż minie pora deszczowa. - Spojrzał na nią w taki sposób, że się zaczerwieniła. - Żałuję, że nie przyjechałem wcześniej.

Nic by to nie dało. Ona byłaby jeszcze w Perth i by się minęli. Nawet gdyby teraz złamał jej serce, nie żałowałyby, że go poznała. Dzięki niemu stała się dojrzała.

- Dobrze, że tak się stało, bo byśmy się nie spotkali. Nie byłoby mnie tutaj.

- Czyli to los tak zdecydował.

- Nieoczekiwanie dla nas.

Przytuliła się do niego. Nie chciała, by ta rozmowa dobiegła końca. Dowiedziała się wiele i teraz lepiej mogła go rozumieć.

- Sophie? - Levi szepnął z ustami przy jej włosach.

- Tak?

- Spójrz na mnie. - Uniósł ramię, a ona usiadła prosto i zwróciła ku niemu twarz.

Ich oczy spotkały się. W jego spojrzeniu było tyle czułości, że Sophie aż dech zaparło. Levi uniósł jej dłoń i ją pocałował.

- Widzę w tobie wszystkie te dobre cechy, które chciałbym znaleźć u siebie. Cechy, które cenię. Przy tobie chciałbym być lepszym człowiekiem.

Sophie potrząsnęła głową. Przecież ona niczego nie zrobiła! Wtedy Levi ujął jej obie dłonie i mocno je uściskał.

- Poznałem cię i pokochałem - wyznał. - Nie wyobrażam sobie, że mógłbym wrócić do domu bez ciebie. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym gdziekolwiek żyć bez ciebie.

Sophie serce waliło jak młotem. Przecież on nie może jej kochać. To niemożliwe.

- Co powiedziałaś? - spytała.

Levi uśmiechnął się tak czule, że zaczęła mu wierzyć.

- Wyjdiesz za mnie? Zostaniesz moją towarzyszką życia? - Znowu podniósł jej dłoń do ust. - Odwzajemnisz moją miłość?

Sophie pogładziła go czule po szorstkim od zarostu policzku. Jak go znalazła? Skąd miała tyle szczęścia? Łzy zapiekły ją pod powiekami, przygryzła wargi, bojąc się wypowiedzieć na głos te słowa.

Odetchnęła głęboko i wyznała:

- Już cię kochani. Nawet zbyt mocno. Zakochałam się w tobie chyba wtedy w oazie, w chwili, kiedy wyciągnąłeś do mnie rękę, żeby mi pomóc wdrapać się na skałę. A potem mnie pocałowałeś i już nic nie było takie samo jak przedtem. - Doskonale pamiętała tamten moment.

- Okropnie się bałam, że i ty mnie zranisz, więc tłumilałam to uczucie. Ale teraz mnie zdemaszkowałeś.

Urwała, łzy szczęścia popłynęły jej po policzkach.

- Tak, zostanę twoją żoną - dokończyła.

- I pomożesz mi iść przez życie uczciwą drogą? Nawet z dala od ukochanego Kimberley? Sophie wzruszyła ramionami. Nagle zrozumiała, że bez Leviego dom nie będzie już domem.

- Zawsze możemy przyjechać w odwiedziny.

Levi nie mógł wprost uwierzyć, że ostatecznie jej nie straci. Piękna twarz Sophie obróciła się ku niemu, otwarta i szczerą, promieniującą miłością. Jak to możliwe, że spotkało go takie szczęście? Gardło mu się ścisnęło ze wzruszenia. Przyciągnął ukochaną do siebie.

Swoją Sophie. Swoje serce. Swoją miłość. Wszystko inne jakoś się ułoży.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sophie powiodła wzrokiem po twarzach weselnych gości zebranych na skraju parowu w Xanadu. Zachodzące słońce nadawało górom w oddali jej ulubiony lekko fioletowy odcień. Kochała tę porę, kochała tę poświatę, kochała Leviego, z którym wymienili przysięgę dozgonnej miłości.

Uśmiechnęła się do swoich przyjaciół, kobiet ubranych w letnie sukienki i ich spalonych słońcem mężczyzn w najlepszych akubrach i wyczyszczonych do połysku kowbojskich butach, i do przyjaciół Leviego w garniturach i sukniach od najlepszych krawców. Z radością przyglądała się, jak obie grupy wspólnie się bawią pod pozbawionym liści ogromnym baobabem.

Tysiącletnie drzewo, świadek zmiennych losów Xanadu, od założenia tu rancza hodowlanego przez jej pradziadka, przez lata prosperity za czasów dziadka, do późniejszego upadku, gdy na dwadzieścia lat przeszło w inne ręce. Teraz dzieci jej, i może dzieci Smileya i Odette, będą tu przyjeżdżały z wizytami, i może pokochają swe dziedzictwo.

Od czasu do czasu piskliwe krzyki kakadu dawały się słyszeć wśród szumu rozmów i wówczas Sophie podnosiła głowę i starała się je zapamiętać, tak jak chciała zapamiętać delikatną woń kwiatów plumerii, zwanych złotem Kimberley, wplecionych w jej bukiet ślubny.

Dam sobie radę w mieście, myślała. Obok niej stał Levi, jej mąż, wysoki, wyprostowany, wpatrzony w nią z dumą i miłością. Łzy zapiekły ją pod powiekami, a ona z trudem opanowała chęć wytarcia ich dłonią. Nie chciała rozmazać sobie tuszu, którym Odette pomalowała jej rzęsy.

Levi musiał zauważyć błysk jej oczu świadczący o wzruszeniu i domyślić się, że jest bliiska płaczu, bo kciukiem łagodnie pogładził wnętrze jej dłoni i splótł palce z jej palcami. Nauczył się czytać w jej myślach. Pod wpływem tego drobnego gestu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, łzy zniknęły.

Levi uniósł dłoń żony i spojrzał na ogromny różowy brylant ozdabiający pierścionek, który wybrał dla niej w kopalni diamentów w Kimberley.

- Masz stanowczo za dużo pieniędzy - skarciła go Sophie żartobliwie.

Levi uśmiechnął się.

- Chciałabyś, żebym je wszystkie rozdał?

Zadał to pytanie lekkim tonem, lecz towarzyszyło mu poważne spojrzenie. Sophie wiedziała, że mówi serio. Serce zabiło jej mocniej, kiedy sobie uświadomiła, że jest gotów zrobić wszystko, aby była szczęśliwa.

Teraz łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu i znowu musiała zamrużyć. W dniu ślubu nie chciała płakać, nawet z radości.

- Pomogę ci je mądrze wydać - oświadczyła. - Tutaj jest wiele rzeczy, które chciałabym naprawić.

Nawet jeśli nie zobaczę rezultatów, dodała w duchu.

Levi objął ją i przytulił.

- Widzę, że wziąłem sobie kosztowną żonę - odparł.

W jego objęciach Sophie czuła się szczęśliwa. W jego ramionach był jej dom, jej miejsce na świecie. Nie Xanadu, nie tętniące życiem Sydney ani żadne miasto, do którego pojedą w związku z jego pracą. Wszędzie jej będzie dobrze, tak długo, jak będzie miała go przy sobie.

Następnego ranka niewielkim samolotem - nie, nie helikopterem - opuścili Xanadu. Trzymając Leviego za rękę, Sophie nie czuła żalu, że opuszcza rodzinne strony. Odwieczne góry i strome wąwozy będą tu zawsze, a Xanadu pozostanie strażnikiem tej krainy do ich powrotu.

Z ufnością w sercu patrzyła w przyszłość u boku wybranego mężczyzny.

Tego wieczoru jedli kolację w ekskluzywnej restauracji w Sydney z widokiem na port i Sophie zrozumiała, dlaczego jej mąż kocha to miasto.

- To moja ulubiona restauracja - oznajmił, spojrzał na panoramę portu, potem znowu na swoją świeżo poślubioną żonę. Kiedy przeniósł wzrok na swój talerz, wiedziała, że pomyślał o ich przemarszu przez busz. - Ale ty poszerzyłaś mój jadłospis.

- Mają też larwy? - zaczęła się z nim droczyć. Wyciągnęła rękę przez stół, nakryła jego dłoń i natychmiast poczuła cudowne podniecenie.

Uśmiechnęła się w duchu do siebie na wspomnienie wczorajszej nocy. Czyż nie wiedziała, jaka rozkosz ją czeka w objęciach Leviego? Jednak to, co przeżyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Pokazał jej, co w miłości znaczy dawać i brać. Zadrzała. Ten przelotny uścisk dłoni przywołał wspomnienie pieszczot i doznań, jakich nigdy nie potrafiłaby sobie wyobrazić.

Gdy splekli palce, ich małżeńskie obrączki zabłyśły.

Levi spojrzał na nią z taką czułością, że poczuła ucisk w żołądku.

- Cudownie się rumienisz, żono - rzekł.

Sophie zaczęła się wachlować.

- To przez tę potrawę - odparła.

- Dziwne, że jedzenie jest ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślę. Chociaż dla ciebie zjadłbym nawet larwę witchetty.

Na szczęście stoliki w restauracji były tak ustawione, że goście mieli zagwarantowaną dyskrecję i intymny nastrój. Niemniej Sophie uznała, że musi nakierować rozmowę na inne tory, zanim jej dowcipny mąż powie coś bardziej szokującego. Widelcem trąciła wytworne danie, jakie dla niej zamówił, i oświadczyła:

- Nie zażądam tego od ciebie, jeśli w zamian zwolnisz mnie z jedzenia tej ostrygi - rzekła.

Levi roześmiał się i przełożył ostrygę na swój talerz.

- Mam dla ciebie coś lepszego - oznajmił, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął grubą białą kopertę, którą z poważną miną jej wręczył. Sophie zmarszczyła brwi. - Dla mojej żony z miłością.

Na jedno mgnienie przypomniały się jej zaręczyny z Bradem, lecz zdusiła w sobie kielkującą nieufność. Levi ją kocha. Co takiego wymyślił?

Spojrzała na kopertę, potem na męża.

- Co to? - spytała, ważąc kopertę na dłoni. Jej ciężar i grubość ją intrygowały.

- Otwórz, to zobaczysz.

Zaczęła szarpać się z mocno zaklejoną kopertą, więc Levi z szelmowskim uśmiechem podał jej nóż. Dobrze się bawi, pomyślała. W końcu wyciągnęła gruby plik papierów, rozłożyła i przebiegła wzrokiem pierwszą stronę.

Nie możliwe!

Oczy jej się zrobiły okrągłe, wargi wyschły.

- Tysiąc akrów? - Podniosła na niego wzrok i zobaczyła błysk rozbawienia i czułości w jego oczach. - Nie możesz dać mi tysiąca akrów ziemi w prezencie ślubnym! - zaprotestowała.

Levi oparł się o tył krzesła i spytał:

- Dlaczego nie?

- Bo to za dużo. - Natychmiast wpadł jej do głowy pewien pomysł, lecz nie wiedziała, jak Levi zareaguje. - Połowę chciałabym oddać Smileyowi.

Levi miał minę człowieka bardzo z siebie zadowolonego, kiedy oświadczył:

- Wiedziałem, że tak zrobisz, i zaproponowałem mu odstępnę. Zgodził się.

Sophie zmarszczyła brwi.

- Xanadu musi ktoś zarządzać. My mieszkamy teraz w Sydney.

Levi uniósł brwi.

- A może będziemy mieszkali tu tylko sześć miesięcy w roku? Co ty na to?

Nabiera mnie, pomyślała Sophie, jednak pomysł jej się podobał.

- A przez drugie sześć gdzie? - spytała ostrożnie.

- Zgadnij. - Odwrócił jej dłoń, pogładził jej wnętrze, potem szarmancko ucałował przegub. - Będziemy wydawać pieniądze, które, jak twierdziłaś, powinienem rozdać.

- Na odstępnę dla Smileya?

Levi zaprzeczył ruchem głowy i znowu pocałował jej dłoń, a ona poczuła gęsią skórę na ramionach. Niech przestanie, pomyślała, bo nie mogę się skoncentrować na ważnych sprawach.

- Na stworzenie tam w buszu kliniki chorób oczu. Już nawet mam nazwę: Mobilna Klinika Okulistyczna Sophie Pearson. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że przeznaczyłem na ten cel sporą część majątku.

Sophie wprost oniemiała z wrażenia.

- Pomyślałem, że jeśli się zgodzisz, moglibyśmy w porze suchej, od maja do października, przenosić się na północ i odwiedzać obozowiska tubylców.

W jego oczach dostrzegła zapal. Kawał dobrej roboty do zrobienia. Kolejny raz łzy napłynęły jej do oczu. Miała szczęście spotkać człowieka, z którego może być dumna, myślała. Przechyliła głowę i słuchała, gdy kończył:

- Oczywiście potrzebna byłaby nam stała baza, a Xanadu spełnia wszystkie wymogi.

- Racja. Zabawne, prawda?

- Gdybyś miała inne zajęcia - ciągnął, patrząc znacząco na jej talię - mógłbym zatrudnić kogoś, kto by mi pomagał, a ty czekałabyś na mnie z naszą rodziną w domu, w Xanadu.

- Pomyślałeś o wszystkim.

Spojrzał na nią tak żarliwie, że zaczerwieniła się od stóp do głów.

- Jeśli będziemy mieli dzieci, pokochają nasze oba domy.

- Naprawdę przemyślałeś to w najdrobniejszych szczegółach.

- Stosowałem się do jednej zasady - uniósł się, nachylił i pocałował ją w usta - zawsze mów prawdę. A prawda jest taka, że będę kochał moją żonę do końca moich dni.